NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 8

ANTONI SŁONIMSKI

MAREK ŻUŁAWSKI

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

LEON RAPPAPORT

HANNA MORTKOWICZ OLCZAKOWA

JAN ANTONI WILDER

STANISŁAW ŁEMPICKI

JANUSZ MINKIEWICZ

* * *

LITERATURA,
SZTUKA I NAUKA
W ANGLII

LONDYN
SIERPIEŃ
1946



Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Advertising Offices, The Carlton Berry Co., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108

3/- Published by „Nowa Polska", 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London, establishment,. — Tel.: MUSeum 1409. 3/-

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 8

LONDYN SIERPIEŃ 1946

ANTONI SŁONIMSKI

SŁOWA

Jak ksiądz, co wiarę stracił a jeszcze powtarza
Słowa niegdyś mu święte, klęcząc u ołtarza
I panuje nad wiernych rozmodlonym tłumem
Już nie łaską radosną lecz smutnym rozumem,
Tak ja te słowa składam, powtarzam nieszczerze,
Święte słowa młodości, w które już nie wierzę.

Piszę W I A R A i z świętych ksiąg, praw i kodeksów
Czytam własną świadomość, jak sumę refleksów,
Piszę P O S T Ę P i widzę, jak wciąż zmienny płynie
Strumień zdarzeń i w pustce nienazwanej ginie.
I piszę słowo Ż Y C I E i widzę, jak fala
Drgań materji nadbiega i jak się oddala.
Piszę R O Z U M i M I Ł O Ś Ć i w tle za słowami
Światła szukam a tylko mrok mam przed oczami.
I napróżno tę ciemność chcę wygnać z przed powiek
I nie mam innej broni jak to słowo: C Z Ł O W I E K.

MAREK ŻUŁAWSKI

POWRÓT

Pierwszy raz zobaczyłem to miasto z amerykańskiej ciężarówki, która kursuje jako autobus pomiędzy Łodzią a Warszawą.

Głośna, pełna błyskotliwych sformułowań na błahe tematy rozmowa urwała się. — Wjeżdżamy, powiedział ktoś, i zamilkł. Mój towarzysz kazał mi się wychylić spod budy. Stała się cisza i słychać było pracę motoru i kół samochodu.

Naprzód były poszczególne domy, sharatane i opuszczone pośród połamanych płotów, umarłe drzewa z poutrącanymi konarami, a potem nagle i bez wstępów objęła nas czarnymi ścianami Wola. Wysokie szkielety kamienic uciekały w podskokach i zlewały się w łańcuchy górskie o poszarpanych sylwetach. Ulice pełne były gwaru furmanek, wózków, bab z koszykami. Czarni ludzie wchodzili i wychodzili z pieczar rozbitych bram, znikali ścieżkami wydeptanymi poprzez pagóry gruzu, zalegającego wnętrza domów i wyłaniali sie znowu z innych otworów. Handlowali w skleconych z połamanych desek i cegieł budkach, nad którymi piętrzyły się niebezpiecznie ruiny jak starożytne akwadukty. Jezdnie ulic uprzątnięte z gruzu były jedynym elementem racjonalnym w tym pejzażu. Zza rogu wychylił się tramwaj i dzwoniąc gwałtownie odjechał jakimś wąwozem. Był oblepiony ludźmi ze wszystkich stron i przeciążony zgrzytał potępieńczo. „Gazeta Ludowa", „Życie Warszawy" wrzeszczeli chudzi chłopcy w malowniczych łachmanach, czepiając się buforów.

Wola, Wola, Wola... powtarzałem bez głosu jak automat. W głowie miałem pustkę i dojmujące zimno. W oczach, w kościach, we wszystkich mięśniach odczuwałem fizyczny ból. Wola, Wola... Ciężarówka trzęsła na kocich łbach. Z dala wzmagał się metaliczny hałas wielkiego miasta.

Gdańsk, gdzie byłem już wcześniej, nie zrobił na mnie takiego wstrząsającego wrażenia. Centrum Gdańska, zrąbane całkowicie i bezapelacyjnie — wznosi się ogromnym wielorakim masywem z czerwonej cegły. Wygląda jak miasto, które rozpadło się w gruzy przed wiekami. Szanowne ruiny oplata już krzew i porasta trawa niedeptana stopą człowieka. Panują tam niepodzielnie cisza i pustka. Ruiny Gdańska „ogląda się" jak ruiny Babilonu lub Niniwy.

Z Warszawą jest inaczej. Warszawa to ruiny ożywione, trup który odmówił zejścia w mogiłę, otworzył puste oczodoły, dźwignął pogruchotane kołem kości, rozpostarł palce powyłamywane obcęgami kata. Jest pełen niesamowitej energii, jak potwór Frankensteina. Aktywność tłumu jest ogromna, żadnej apatii — wszystko biegiem. Tramwaje, troleybusy brane są szturmem na wszystkich przystankach. Kto silniejszy — zwycięża. Bary, kawiarnie, restauracje wbudowane w szkielety kamienic — stale pełne. Wiszących groźnie nad wątłym sufitem ruin nikt zdaje się nie zauważać. Wygląda to tak, jakby się wszyscy umówili, że Warszawa istnieje i wytworzyli kolosalną fikcję, która jest silniejsza od rzeczywistości.

Na Warszawę, na Warszawę — ryczą naganiacze z ulicy Targowej. Za ręce, za kołnierz wciąga się klientów na wysoką ciężarówkę, która za dwadzieścia złotych wiezie przez drewniany chwiejny most z Pragi do Warszawy. Potężna ciężarówa wali jak wściekła pod górę Tamką, Kopernika, mija pozbawiony

wszelkich cech rozpoznawczych, niski jakiś i wiejski Nowy Świat i wpada, zdaje się, w Warecką. Gdzie pan staje — krzyczę do przedsiębiorcy-konduktora, który przepycha się między pasażerami. Gdzie pan staje? Przy Dworcu Głównym — pada odpowiedź.

Ale ja wiem, że Dworzec Główny to fikcja. Dworca Głównego nie ma. Na placu, zrytym jak po trzęsieniu ziemi wznosi się tylko gigantyczne jakieś okno, wychylona pod nieprawdopodobnym kątem rama z żelbetonu i pochylona pod innym kątem konstrukcja bloków betonowych zawieszonych na drutach, stojąca na metalowych punktach podparcia. Jakiś obłąkany Corbusier, groźny na tle niebios jak symbol rzeczy nieznanych, które nadejdą.

Nie, Dworca Głównego nie ma w rzeczywistości. Istnieje on jedynie jako część fikcji. Naprzeciwko stoi Hotel Polonia. Niezniszczony, jak oaza, w środku zwykły przepych hotelowy — kandelabry, lokaje, windy, dywany. Rozsiedli się tam zagraniczni dyplomaci, jak w Domu Rządowym na Czarnym Lądzie Afryki. Zestawienie tych dwóch gmachów jest surrealistyczne.

Cała w ogóle Warszawa to raj dla surrealistów. Kopalnia niezrównanych tematów dla przedstawicieli tej szkoły.

Pamiętam, był kiedyś na rue de Seine w Paryżu sklep surrealistów. Nazywał się, o ile pamiętam, Godiva. Sprzedawano tam różne nieprawdopodobne przedmioty bez zastosowania. Utkwiły mi specjalnie w pamięci taczki murarskie zachlastane wapnem i tęgo poobtłukiwane na zewnątrz, a w środku wybite purpurowym atłasem i brokatem pikowanym złotymi guzami.

Właśnie takie zestawienia absurdalne widać na każdym kroku w Warszawie. Widziałem np. na Marszałkowskiej dom, który odruchowo obszedłem z daleka. Spiętrzone głazy górnych pięter, zawieszone na niebie, zdawały się grozić runięciem w każdej chwili. A na parterze pięknie odnowionym był sklep optyka z wielkim kryształowym oknem wystawowym, pełnym precyzyjnych instrumentów szklanych. W Londynie dom taki byłby dawno rozebrany lub otoczony płotem z napisem „unsafe". Ale w Warszawie został zrealizowany surrealizm i najbardziej przejmujące kombinacje form nikogo już nie straszą.

Warszawa jest najznakomitszym przykładem teorii, że sprawy, które mają oblec się w kształt realny, znajdują naprzód zapowiedź w sztuce. Warszawę wyśnili surrealistyczni malarze ostatnich dwudziestu pięciu lat. W ich to podświadomości zrodziła się potworna wizja świata dzisiejszego. Dlatego nie należę do tych optymistów, którzy sądzą, że sztuka Picasso z ostatnich lat to tylko końcowe akordy przebrzmiałej rewolucji kubistycznej. Niezależnie od dróg rozwojowych i genealogii jego malarstwa obecnego, Picasso — obawiam się — zapowiada rzeczy najstraszniejsze, które podobnie, jak wizje surrealistów, staną się ciałem. Picasso zniszczył formę, budowaną przez wieki przez malarzy wszystkich epok, przez niego samego, unicestwił sam obraz w jego dotychczasowej koncepcji, zaprzeczył Pięknu w jego podstawowych założeniach, zrobił brutalną sekcję widzialnego świata, pokazując całą jego brzydotę na tyle, na ile da się to pokazać środkami malarskimi. Wiedząc czy nie wiedząc o tym, Picasso zapowiada zniszczenie totalne naszej cywilizacji — może nawet zniszczenie naszego świata.

* * *

W Warszawie niełatwo się poruszać. Szczupłe środki transportu miejskiego przeciążone są do ostatnich granic. Drałuje się piechotą z jednego krańca miasta na drugi. Jeśli ma się pieniądze, jeździ się rikszą. Riksza to rower lub motocykl z ławeczką wmontowaną przed przednim kołem. Uwikłany w to fikcyjne miasto, czasem gubiłem się i musiałem pytać o drogę. Ludzie są życzliwsi jacyś niż dawniej, a kiedy zorientują się, że mają do czynienia z nowoprzybyłym, chętnie wdają się w rozmowę o tym co jest teraz i o tym co było podczas okupacji. Szary człowiek ulicy wydaje się rozsądniejszy niż dawniej, dzieli się trafnymi refleksjami — przeszedł tyle, że z wyżyny najstraszniejszych doświadczeń spogląda przeważnie na rzeczy chłodniej i jaśniej. Pamiętam rozmowę z jakimś przygodnym znajomym, który służył mi za chwilowego przewodnika. Mała, zmęczona postać bez wieku. Cera dziobata i szara. Głos cichy. Twarz nijaka, z rodzaju tych, których niepodobna zapamiętać. Pan z zachodu? — pyta. Pan nie był tutaj podczas wojny. Widzi pan te czarne tabliczki z krzyżami — tu rozwalali zakładników. Gęby zatykano im wapnem, żeby nie krzyczeli: „Jeszcze Polska". Tu także dużo ludzi padło pod tą ścianą, gdzie pan widzi zwiędłe wieńce. Pan nie poznaje ulic? Nie dziwota, nie dziwota. Czy zachód wie, jak to wszystko wygląda? I czy rozumie dlaczego? Słuchało się radia, słuchało. Nawoływali nas da walki. A naród nasz pochopny do broni, bardzo pochopny. Pan z Londynu?... Londyn ponosi dużą odpowiedzialność za to co się stało. Londyn posyłał pieniądze i broń. Posyłał instruktorów. Myśleliśmy, że wie co robi. Myśleliśmy, że nas przecie na pewną zgubę nie wystawi. Kiedy wybuchło powstanie ludzie myśleli, że to było przygotowane. Że to w porozumieniu z Rosjanami. Że wszystko było uzgodnione z góry. Tak, tak — to się wszystko nie opłaciło ... Nie opłacało się zabijać pojedyńczych szwabów, żeby potem ginęły setki zakładników. Nie opłaciło się robić powstania — za duże straty. To trzeba było przewidzieć. Ale my nigdy nie mamy na górze ludzi z głową. Ot, wczym rzecz — brak ludzi z głową. Zawsze. Pożegnał się grzecznie i już odchodzi w bok, skupiony i nieuśmiechnięty, już miesza się z powrotem z tłumem, na który pada słońce, skłonione ku zachodowi, rażące oczy i bolesne.

Prawda — uświadamiam sobie — Warszawa nie rzuca cienia...

* * *

Zjadam kolację w małym handelku. Wczoraj byłem „Pod Bukietem". Na Marszałkowskiej — w tym samym miejscu. Więc zakąski nieprawdopodobnej wspaniałości, zamrożona wódeczka, kanapki z kawiorem, łosoś wędzony — no i potem nieziemska sztukamięs z kwiatkiem i sosem chrzanowym, z której w najlepszej restauracji londyńskiej wykrajanoby nie dwie, ale cztery porcje. Nie mogłem zjeść. Odzwyczajony od takiej obfitości żołądek nie dał rady. Z poczuciem winy patrzyłem jak kelner zbierał półpełne talerze i składał je jeden na drugi, bez żalu. Wszystko pójdzie do pomyj. Iluż ludzi jest głodnych w tej chwili na świecie — w Polsce —?

W handelku jest istotnie skromniej, jest także z kim pogadać. Lubię nieznajomych, nieotoczonych kelnerami ludzi. W handelku wszyscy ze sobą gadają. Wymieniają uwagi z właścicielką.

— A czy te Amerykany wezmą Stare Miasto? Że niby chcą odbudować... Ale tam, co pani wygadujesz. Nasi nie dadzą.

Dlaczego — przecie chcą odbudować? A właśnie dlatego. My chcemy sami. Wszystko sami — bez pomocy. Jak powstanie! Sami zburzyli — sami odbudujemy. Ambit mamy, cholera! — i w śmiech.

Wszyscy ryczą — śmiech jest urzekający — śmieją się do rozpuku, wariacko. I nagle urywają. Cisza. Ktoś zmienia temat rozmowy.

— A pan szanowny — przepraszam — obywatel, to na pewno nie z tych stron? Istotnie, przyjechałem z dość daleka — odpowiadam. Pewnie z Włoch, albo z Francji? Nie, z Londynu. O, zaraz poznałem po paletku — ma się rozumieć angielski materiał. Jak tam w Londynie?

— Dlaczego nasi nie wracają? — wtrąca ktoś inny? Wiadomo, forsę ciężką zbijają to nie chcą z nami, dziadami, gadać. Nie wracają ze względów politycznych — wyjaśniam. Pan mówi — względy polityczne? Niech w Polsce robią politykę — proszę bardzo. Coś mi się to nie wydaje. Na pewno zbijają forsę — no, bo jak? Przecieżby wrócili. Forsy im szkoda i jedwabnego życia — ot co jest.

— Czytałem, że w Anglii jest siedmiuset polskich lekarzy — mówi inny starszawy facet. U nas dzieci nie ma kto leczyć. Pan wie jaka jest u nas śmiertelność wśród dzieci? Zginiemy jako naród, jak tak dalej pójdzie. W Anglii jest kupa naszych inżynierów, powiadają, — u nas nie wiadomo do czego wpierw rękę przyłożyć. Gdzie spojrzyć — gruzy. Wszystko trzeba od nowa zaczynać. Przecież w Polsce było bezpłatne nauczanie — oni się uczyli za nasze pieniądze, a teraz pracują dla obcych. Niech pan powie prawdę, — bez bujdy — dlaczego oni nie wracają?

Byłem bezsilny. Próbowałem tłumaczyć, ale argumenty, które słyszałem wśród londyńskiej emigracji nie wytrzymywały wzroku tych ludzi.

Do handelku wchodzą dwa chłopaki, po kilkanaście lat, w mundurach wojskowych. Chcą papierosów „Wolność". Ale w pudełku, — nie na sztuki! Panoszą się w sklepie, wąchają papierosy czy nie fałszowane. Wszystko fałszowane u was — powiadają. Nie macie amerykańskich? Jest Lucky Strike. Może też fałszowane? Próbują. Może i prawdziwe — diabli was wiedzą. Wychodzą trzaskając drzwiami.

— To nie nasi chłopcy, nie warszawscy. Dlaczego? Bo Warszawiak Warszawiakowi ufa. A cały świat uważa nas za oszustów. Papierosy faktycznie były tym razem niezupełnie, ale co takiemu szczeniakowi za różnica. Kupiłam sześć tysięcy sztuk luzem, to skąd mają być w pudełkach. Kupiłam taniej — to prawda — może tam ktoś na lewo — czy ja wiem — mnie to nie obchodzi. Ale były „przeważnie" monopolowe. Czego się taki szczeniak ciska. Pewnie z U.B.

* * *

Sklepy w Warszawie są pełne towaru. Wszystko jest. Artykuły pierwszej potrzeby, żywność, przedmioty luksusu. Amerykańskie papierosy, angielskie materiały, niemieckie aparaty fotograficzne i mikroskopy. Nigdzie nie widziałem takich pończoch i jedwabi, jak w Warszawie i w Łodzi. Trzeba mieć tylko pieniądze. Tylko... Pieniędzy natomiast nie ma nikt, kto normalnie pracuje, a nie „kombinuje". Z samej pensji wyżyć trudno, ale są przydziały takie i owakie, U.N.R.R.A. itp., — jest

wreszcie wolny handel. Jak się państwu powodzi — mówi się w Warszawie. Ano, jako-tako, dzięki Bogu. Jako-tako. Ja co prawda jestem po dawnemu profesorem, ale za to mój najstarszy syn jest bezrobotny, więc jakoś sobie dajemy radę. Najlepszym interesem dostępnym dla inteligencji bez handlowego wykształcenia jest bar kawowy. Jest ich krocie. Są i dancingi. Ceny w niektórych potworne, ale pełno. Kalkulacja prosta — odnowić kawałek ruiny, wycofać włożone pieniądze jak najszybciej, bo może się zmieni koniunktura, albo zarekwirują na kantynę straży pożarnej. Więc łupić skórę z szanownych obywateli, którzy klną ale przychodzą. Bo taka jest siła przyzwyczajenia do tego typu życia u polskiej inteligencji, że nic jej złamać nie zdoła. Żaden kataklizm dziejowy także nie. Kiedy piszą poeci, kiedy malarze malują — nie wiem. Zawsze siedzą w kawiarni i rozmawiają.

Rozmowa jest błyskotliwa, kobiety są eleganckie. Mówi się o wszystkim. Krytykuje się głośno rząd i stosunki. Nikt się nie krępuje w dowcipach. Odchodzą gęsto opowiadania o znienawidzonym U.B., tak zwanym Bezpieczeństwie lub Bezpiece. Od stolika słyszę śmiech. To jedna z pań, opowiadając o podróży morskiej na zaminowanych wodach pomyliła się w ferworze w sposób charakterystyczny, mówiąc że tylko przytomność umysłu oficera wachtowego uratowała cały statek od grożącego „bezpieczeństwa".

Zarządzenia władz traktowane są z góry jako szykana, którą trzeba obejść. Jest to w znacznej mierze spuścizna czasów okupacji, kiedy to wyprowadzanie w pole władz było cnotą.

Czy jest szynka — pyta energicznie jakaś dama wchodząc do sklepu. Jest — odpowiada sprzedawczyni — ale czemu pani mówi tak głośno? Dzisiaj dzień bezmięsny.

* * *

Kiedy zapadnie szary mrok złudzenie miasta jest najsilniejsze. Parterowa Marszałkowska świeci się pełnią wielkich wystaw sklepowych, parterowe kawiarnie, restauracje i dancingi rzucają snopy na wysprzątaną jezdnię. Makabryczne piętra domów toną w łagodnym niebie i nikną. Jest ciepły wieczór czerwcowy. Warszawa — jak dawniej — wypełnia się szeptami. Pospieszne kroki, uśmiechy — panowie i panie. Na małym odcinku miasta, na tych kilku oświetlonych ulicach skupi się cała przejrzysta tajemnica wieczoru wielkiego miasta.

Na Chmielnej — dobry przechodniu — dziewczęta spacerują, jak zwykle. Także na Widoku. A jakże. A jeśli cię która zaczepi — dobijesz szybko targu. Gdzie mieszka? — w Alei Jerozolimskiej. Jeżeli jesteś odważny decydujesz się na skróty. Masz teczkę, pieniądze, nowe palto w ręku. Słyszałeś dużo opowiadań o rabunkach w tym mieście. Zdarzało się, że zatłukli tego i owego poszukiwacza przygód w ruinach. Przepraszam, „w gruzach" mówi się w Warszawie.

Pójdziemy przez gruzy, koteczku? zapyta twoja towarzyszka. I kiedy się zgodzisz pociągnięty, nieodparcie olśniony ryzykiem niebezpieczeństwa — poprowadzi cię łagodnie poprzez czeluść ruin, — w poprzek bloków — na Widok, a stamtąd znowu w głąb labiryntu zwalisk, ścieżką wydeptaną przez góry gruzu sięgające pierwszego piętra. Mijać będziesz wnętrza mrocznych domów, jak w sennej podróży. Na środku jednego z nich ujrzysz ognisko. Zatrzymaj się tam i spojrzyj na makabrę drgających cieniów.

rzuć okiem na czarne lochy, na wyłupane dziury po oknach, — weź w piersi trupi zapach zgnilizny, którego — ostrzegam — nie zapomnisz już nigdy. Odgłosy miasta ustąpią tu i zamilkną, czas się cofnie i usłyszysz po raz pierwszy głos twojej towarzyszki: „Tu leży dużo ludzi — powie. — Wieczne Odpoczywanie...” I poprowadzi cię dalej twoja Beatrice poprzez smętarze zasypanych i poprzez czarne arkady teatralnie nieużyteczne, schodami które nigdzie nie wiodą, korytarzami otwartymi na gwiazdy. ... Ale wkrótce nie będziesz już rozróżniał architektury — przed tobą migać będą jej łydy mocne i zwycięskie, i deptać będziecie razem to pole boleści, aby stało się zadość sprawom życia, sprawom miłości... i śmierci.

* * *

Na Pragę jedzie się ciężarówką, t.zw. budą. Budy, odchodzące na wszystkie strony świata, stają na placu przed Polonią i zbierają „łebki”. Cały wielki obszar na przecięciu Alei Jerozolimskiej i Marszałkowskiej rozbrzmiewa indiańskimi wrzaskami nieletnich zawodowców od naganiania. „Praga — Targowa, Praga — Targowa! Miejsca siedzące i wiszące! Jeszcze dwie damy i odjeżdżamy! Praga — Targowa, Praga — Targowa! Praga — Targowa!” Pośpiech, ba, gonitwa. Wszyscy równocześnie i na siłę. Kiecki, zady, buty z cholewami. Jazda będzie wariacka po wybojach. Góra ludzi (łebki) walić się będzie z jednej burty na drugą przy zakrętach. Tempo. Maszyny mają dobre, wojskowe amerykańskie, angielskie i rosyjskie. Będą się ścigać i zajeżdżać sobie drogę. Łebki pod budą wytrzymają. Konduktor — przedsiębiorca jest pełen troski o swoje łebki. Panie obywatelu, tam pan odpadniesz. Na własne ryzyko. Ale płacić pan i tak musi. Czym? Ręki nie mam. Mnie to faktycznie nie obchodzi że jej pan nie ma, byleś pan miał dwadzieścia złotych. Co paniusia tak sterczysz na froncie? Zapychaj pani do loży. Gotowi? — i stroma drabinka służąca do wchodzenia leci do góry. Klapa się zatrzaskuje i jazda. Potem na Pradze konduktor — przedsiębiorca opuści ją znowu, wyskoczy pierwszy na ziemię i pod pozorami szarmanckiej gotowości do niesienia pomocy obmacywać będzie co młodsze pasażerki.

Wyskoczę wtedy i ja i pójdę przez gotującą się od ruchu i hałasu Targową do Gmachu Dyrekcji Kolei, gdzie mieści się Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Muszę coś załatwić. Tu się ciągle coś „załatwia”. Chodzi się od ministerstwa do ministerstwa, czeka się u wejścia na przepustkę, czeka się w poczekalni czy na korytarzu. Nie ma żadnego sposobu, aby się z urzędnikiem umówić na określoną godzinę, bo zawsze wypadnie mu jakaś konferencja albo musi jechać do innego ministerstwa, sam coś „załatwić”. Godziny posiłków nikogo nie obchodzą. Naczelnicy niektórych wydziałów pracują w permanencji. Na korytarzach ministerstw i budynków rządowych stoją uzbrojone posterunki. Po jaką cholerę pan tu stoi z tym rozpylaczem — pytam rozłoszczony czekaniem. Oczy żołnierza napełniają się zdumieniem. A bo ja wiem — rozkaz — odpowiada niechętnie.

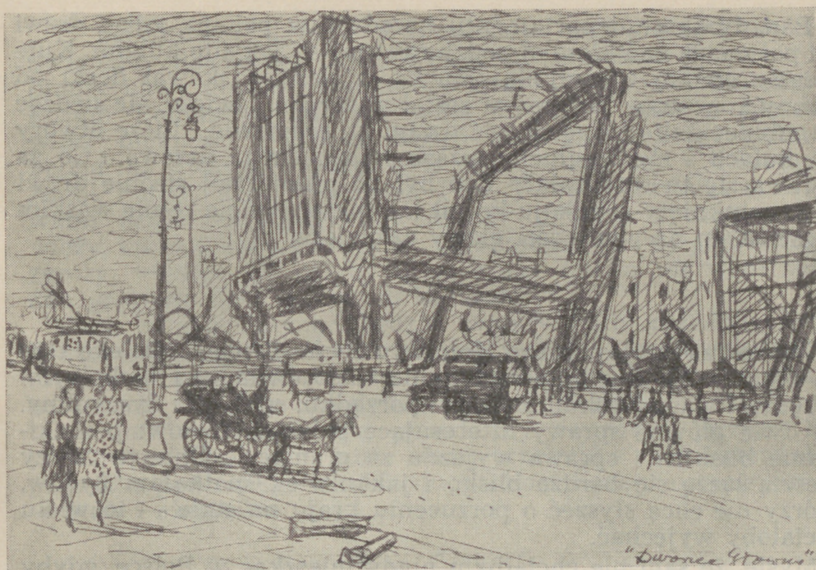
Wewnątrz urzędy są już wszystkie odremontowane. Ślady straszliwych walk zostały wygnane w miarę możności, ale czasem ten czy ów szczegół przypomni gwałtownie co się tu działo, zaszarpie wyobraźnią przybysza. Zdruzgotany czołg rdzewiejący na podwórzu, fasada posiekana kulami jak twarz ospą, poczerniałe schody, obraz pokryty bąblami od żaru płomieni...



KOŚCIÓŁ ŚW. ALEKSANDRA



UL. MARSZAŁKOWSKA



DWORZEC GŁÓWNY



RYNEK STAREGO MIASTA

Pan dyrektor departamentu urzęduje w pokoju, gdzie drzwi na pół metra nad klamką podziurawione są jak sito kulami. Kule weszły gładko z kierunku biurka, wywalając kawał deski od strony korytarza. Ten kawał został wstawiony świeżo, ale siedząc w gabinecie nie mogę skupić uwagi na rozmowie. Liczę otwory po kulach i słyszę głuchy trzask miażdżonego drzewa. Co za sprawa się tu rozegrała? Kto był po przeciwnej stronie drzwi i kto zamknięty w pokoju kropił tak niesamowicie celnie wąskim rozstrzałem na wysokości głowy człowieka?

* * *

W Warszawie jest Biuro Komitetu Żydowskiego. Daleko tam do organizacji biur angielskich, ale w porównaniu z niektórymi urzędami warszawskim to szczyt porządku, spokoju i dyscypliny. Są dwie główne sprawy interesujące polskich Żydów: poszukiwanie bliskich i sprawa wyjazdu za granicę. Obie te rzeczy zresztą łączą się bardzo blisko i jakkolwiek spotkałem Żydów, którzy nie chcą słyszeć o porzuceniu kraju na stałe — to wielu chciałoby wyjechać.

Myślę, że sam nie chciałbym nigdy mieszkać w Polsce, gdyby pozostały tam tylko groby moich najbliższych. Wielu z tych osamotnionych ludzi ma gdzieś na świecie jakąś drogą istotę — czy to w Palestynie, czy w Ameryce, czy w Anglii. Jest wysoce zrozumiałe i ludzkie, że chcą się z nimi połączyć, że nie uśmiecha się im pozostawanie w kraju najstraszniejszych wspomnień i to w kraju, gdzie wśród motłochu ciągle jeszcze jest żywa niechęć do Żydów.

Przed komitetem żydowskim stał smagły młody chłopak w battle-dressie. Zapadłe policzki nie znały jeszcze brzytwy, ale oczy znały już wszystko. Usta miał spieczone i semickie. Zauważyłem go kiedy chodziłem do biura, zauważyłem w drodze powrotnej. Stał sztywno wyprostowany, jak na warcie i patrzył przed siebie. Wyglądał właśnie jak człowiek, któremu ziemia rozstąpiła się pod nogami. Struchlały patrzył w przepaść. Ten młody chłopak żydowski nie miał na pewno do kogo jechać i nie miał nikogo, z kim mógłby zostać w tej krainie łez. Zapaliłem papierosa i podsunąłem mu papierośnicę. Przestraszył się, jak ktoś obudzony z głębokiego snu. Odmówił i cofnął się instynktownie. Skąd pan przybywa, panie sierżancie, — zagadnąłem — starając się nadać głosowi ton zwykły i swobodny. Z Treblinki — odpowiedział bezbarwnie. Mieszka pan w Warszawie? Nie, nigdzie nie mieszkam. A ja przyjechałem z Londynu — zaryzykowałem — aby przedłużyć rozmowę. Z Londynu? — miałem wuja w Londynie. Także nie żyje. A potem nagle zasalutował i odszedł jak automat. Patrzyłem chwilę za tym chłopcem, jak szedł sztywno przed siebie, potem nagle zawrócił, poszedł w bok, przystanął i ruszył w przeciwną stronę. Znikł w bocznej ulicy, która wiodła ku czerwonej pustyni głazów.

* * *

Kościoły w Polsce przepełnione są wiernymi. W Warszawie widziałem majowe nabożeństwa, odprawiane u połamanych figur i świątków, wyciągniętych ze zgliszczy i podpartych cegłami na rumowiskach. U stóp figur leżą kwiaty i palą się świece.

Z podziemnej krypty przywalonej rumowiskami kościoła Świętego Aleksandra wydobywają się anielskie śpiewy. Kolumny nawy głównej podpierają teraz nicość, jak kolumny na Forum Romanum, tworząc jakiś antyczny teatr o niesamowitej piękności. Kulisy teatru stanowi półkole wielkiego bębna, na którym wsparta była niegdyś kopuła. A kiedy na Anioł Pański mijać będziecie Plac Trzech Krzyży wstrząśnie wami nagle niespodziewany dźwięk dzwonu z osamotnionej wieży, która ocalała z kościoła. Przeniknie was do głebi dreszcz zgrozy, właśnie jak gdyby ucho wasze łowiło pierwsze słowa dźwigającego się z martwych Łazarza.

Obok ulicami płynąć będzie zwykły ruch przedwieczorny. Riksze śmigać będą szybko we wszystkich kierunkach, dziewczęta w za krótkich sukniach pokazywać będą nogi na wysokich koturnach. Trzy za dziesiątkę, trzy za dziesiątkę — takie duże, takie duże — wołać będą sprzedawcy owoców i jarzyn. Pod kolorowym parasolem, gdzie siedzi przekupka na zardzewiałym podwoziu pancernego samochodu, pachnąć będą wiosenne kwiaty — białe i niebieskie.

* * *

Ale zaraz za Sienną rozpoczyna się już martwota. Ku północy ciągną się szeregi umarłych domów, ulice-wąwozy zasypane jeszcze gruzem i wiodące dalej, ku kamiennemu morzu dawnego ghetta. Co to za ulica? — zagadnąłem samotnego — jak ja — przechodnia. Próżna — odpowiedział. I w niespodziewanym uśmiechu pokazał wilcze zęby. Miał najwyżej dwadzieścia parę lat, szerokie ramiona sportowca, obszarpaną bluzę i złotą Omegę na ręku. Na serdecznym palcu brudnej od smarów dłoni błyskał szeroki pierścień z brylantem. O, ja znam te miejsca dobrze — ciągnął. Tu między placem Grzybowskim a Bankowym byłem ranny podczas powstania. Tędy — widzi pan — biegła barykada. Z tego dachu waliły cekaemy. I zaczęła się rozwijać przed moimi oczyma epopeja męstwa i nadludzkiej wytrwałości, rozpaczy i braterstwa, przebiegłości i okrucieństwa. Uciekłem z Oświęcimia — mówił i odsłonił przedramię, na którym zobaczyłem wypalony numer. Podkop... Miałem jeszcze rany od bicia i zgolony łeb, kiedy wybuchło powstanie. Z deszczu pod rynnę, co? Zameldowałem się do swojej jednostki i wkrótce posłano nas we czterech na zdobycie Hali Targowej, — o tam, widzi pan — ta wypalona rudera. W Hali był silny oddział niemiecki; podeszliśmy blisko i zaczęliśmy kropić. Po chwili wyszło szesnastu szwabów z rękami do góry. Myśleli, że jest nas więcej. Kazaliśmy pilnować jeńców chłopakowi, który nosił nam amunicję. Miał dwanaście lat. Stanął z pepeszą i pilnuje, a my wchodzimy ostrożnie do środka. Cisza... Aż tu nagle jak nie zaczną do nas walić z wnętrza Hali. Wycofaliśmy się na brzuchach i — rada wojenna. Po pierwsze postawiliśmy tych szesnastu pod ścianę i rozwalili ich z automatów za karę, no i dlatego, żeśmy nie mieli co z nimi robić. Potem podłożyliśmy ogień pod budę i zajęliśmy dobre stanowiska. Hala stanęła w płomieniach. Niemcom prędko zrobiło się za gorąco. Co który wylezie — to bęc i leży. Wybiliśmy wszystkich dwudziestu ośmiu. To było ładne zwycięstwo. Czysta robota. Ale w drodze powrotnej natknęliśmy się na silny oddział nieprzyjacielski i zostaliśmy rozbici. Nasz chłopak zginął, a myśmy musieli zwiewać w przeciwnym kierunku. Tamtędy — widzi pan? Ale tam znowu byli Niemcy. Zostaliśmy otoczeni.

Prowadził mnie krok za krokiem przez pobojowisko, wchodziliśmy do domów, w których rozgrywały się rzeczy, ścinające krew w żyłach, i zstępowaliśmy do piekieł, do piwnic, w których konali ranni. „Niech się pan podciągnie na tym murku, zobaczy pan tam dziurę w ścianie"... Była istotnie. „To ja ją wybiłem, kiedy wykurzyli nas dranie z tej piwnicy, podpalając beczki ze smołą. Dwadzieścia sześć dni kryliśmy się we czterech po niemieckiej stronie. Byliśmy ciągle pod nimi to w tej piwnicy, to w tamtej. Nocą wychodziliśmy zabijać i zdobywać żywność. Byliśmy odcięci. Raz złowiliśmy prosiaka — żarliśmy na surowo, dopóki się nie zaśmierdział — potem już rzadziej. Kiedy już zaczęliśmy dostawać maligny, wziąłem się do przebijania tej ściany — o, tej pod którą pan stoi. Byłem już bardzo słaby — widzi pan jaka cholera gruba — na kilka cegieł — sam pan widzi. Myślałem, że wydostaniemy się nocą do przyległej piwnicy, ale okazało się, że nie da rady. Wtedy wybiłem tę, co pan widział przedtem i gazu tędy, pod nosem szwabów, przez podwórze — o, do tej tam piwnicy na środku placu. Nie zauważyli, bo było ciemno. Wejście przykryliśmy jakimś blatem. Niemcy po nas łazili — wiedzieli, że gdzieś jesteśmy, ale nie przypuszczali, że w takiej dziurze. Próbowali kuć to tu, to tam. Miałem dolary, to je tu zakopałem. Tuśmy leżeli w zgniłej ciemności — dzień za dniem, noc za nocą. Jakby wrzucili granat, toby nas wykończyli od jednego razu, bo nie było nawet gdzie się wyprostować. Leżeliśmy tam w błocie i nocami wychodzili po wodę. Strasznie byliśmy głodni i pić się chciało jak jasna cholera. W tym miejscu, pod tą ścianą co ją Niemcy zbudowali jako osłonę dla swoich cekaemów, stała beczka z wapnem. Na wierzchu zbierała się woda. Trzeba było nabrać w manierkę. To długo trwało. Bulgotanie słyszeli Niemcy za ścianą. Jak który wyszedł, udawało się trupa. Trupów było dość naokoło i nikt ich nie grzebał. Cuchnęły. Raz mnie jeden szwab zobaczył, jak się skradałem wzdłuż tego tam domu. Łubudu ... i leżę. Było mi głupio, że się tak naciąłem i że woda się wylała. No, nic — leżę i co chwila tracę przytomność. Myśleli, że mnie skończyli. Nie chciało im się łazić w gruzy sprawdzać. Bali się w ogóle jak diabli i trzymali jednego miejsca, gdzie byli osłonięci, bo nasi ciągle gdzieś z dalszych ruin strzelali. Kiedy się ściemniło zebrałem się w sobie i zacząłem się czołgać. Ale miałem kurcz w rękach i nogach. Na zaciśniętych pięściach przeciągnąłem się przez ten kawał gruzów. Niech pan spróbuje oprzeć się pięścią na potrzaskanych cegłach i cemencie. (Spróbowałem...). Chłopaki zdumiały się, kiedy wróciłem do dziury i dalejże mnie obmacywać. Kula weszła pod obojczykiem, a wyszła nisko na plecach, wyrywając kawał grzbietu. Byłem pochylony naprzód, jak dostałem. Nie mieli czym opatrzyć, ale znaleźli następnej nocy drabinkę. To podparli ją cegłami, przykryli płaszczem i położyli mnie na niej. Żebym nie leżał w błocie i w gównie... Pan wie: szczebel pod krzyżem, szczebel pod karkiem i pod główką szczebel. Bardzo wygodnie. Tyle dobrze, że rana na plecach wypadała między szczebelkami. Tak przeleżałem w ciemności wiele dni. Ciągle żyłem, chociaż nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą. Musiałem mieć gorączkę, bo ciągle mi się coś przywidywało. Mijały dnie i dwaj moi towarzysze po kolei zginęli na nocnych spacerach. Został przy mnie czwarty — starszy gość — profesor czy coś. Nie mógł prawie chodzić, bo go w tej norze strzelił reumatyzm. Dziwiłem się, że przynosił jeszcze wodę z beczki. Miałem gorączkę, —

nigdy nie wiedziałem czy siedzi przy mnie czy go nie ma, czy jest dzień czy noc, czy jaka cholera. Aż raz coś się w górze zaczęło odbywać. Ruch był wielki nad moją głową w tę i nazad. Z cekaemów ktoś walił i usłyszałem polską komendę. To mój belfer w nocy przekradł się na nasze pozycje i sprowadził wycieczkę. To było bardzo trudno, bo jak cię nie chwycili Niemcy — to ustrzelili cię nasi. Każdy kropił do każdego na wszelki wypadek. No, to mnie w końcu zabrali. Na oczy nie mogłem patrzyć — tak długo byłem w ciemności. Miałem długą brodę. Ale jak mnie nieśli, to Niemcy ustrzelili jednego sanitariusza. Drugi próbował mnie turgać na plecach, ale bólu mi narobił okropnego — rana raczęła krwawić. Było mi tak słabo, jakbym umierał. Wtedy wybuchł granat koło nas. Drugiego sanitariusza rozerwało, a ja zostałem znowu ranny w głowę i rękę. Leżę. Chcę wołać, ale głosu nie mam. Słońce praży prosto z góry. Z początku przyjemnie — potem strasznie. Teraz to już chyba umrę w końcu — myślę. Ale nie chciałem za nic umierać i co mi się zaczyna konać — to zbieram się w kupę i walczę z umieraniem. Tak znowu przeleżałem bez jedzenia i bez wody, nie wiem jak długo. Między trupami. Aż znowu nasi przyszli i zabrali mnie w końcu za miasto do szpitala. Wylizałem, się. Śmieszne — czasem mi się w to wszystko samemu nie chce wierzyć...

W pozbawionej cieniów głuszy słońce prażyło — jak wtedy. Zapadło milczenie. Upłynęło wiele czasu, zanim odważyłem się odezwać. I co pan myśli o tym wszystkim teraz — z perspektywy? Czy ta nieprawdopodobna suma cierpienia była celowa? Czy kierownictwo powstania miało rozpętać ten kataklizm zniszczenia i śmierci? Nie wiem jak się wyrazić — pan rozumie — czy to wszystko było słuszne?

Popatrzył na mnie przenikliwie. Ja pana nie znam — ale może pan być czym pan chce, ja się pana nie boję... Ja powiem otwarcie to co myślę: tak, tak, i jeszcze raz tak, — było słuszne. Myśmy się bili o jedną rzecz, o jaką człowiekowi walczyć warto. Pan wie — o wolność. Słuchaj pan — o to, żeby nas nikt nie łapał na ulicy i nie wsadzał do Oświęcimia — o to abyśmy mogli rządzić się sami, — po swojemu — u siebie — o wolność mówienia co nam się podoba, — o wolność od ciągłego lęku, — o wolność, do cholery, o nic więcej! A to, żeśmy ponieśli klęskę nie naszą było winą. Nie oszczędzaliśmy się, nikt się nie dekował — daliśmy z siebie wszystkie nasze siły — nawet więcej. I dlatego mamy czyste sumienie. Nie wiem, jakie kto miał kombinacje polityczne — my, żołnierze nie mieliśmy żadnych — my tylko chcieliśmy bić szwabów i przyspieszyć dzień wolności. Ale chcę mówić tylko za siebie — słuchaj pan — ja w każdej chwili na nowo — gotów byłbym powtórzyć wszystko od początku — jeśli potrzeba! Żeby przeżyć na nowo tę radość, to szczęście, kiedy zaczęliśmy iść naprzód! Nie wiem jak kto — ale ja nie chciałem umierać — chciałem żyć. Dałem dowody i wtedy i potem kiedy po powrocie do zdrowia — już po powstaniu — dalej walczyłem z Niemcami. Kazali się mojemu oddziałowi skontaktować z sowietami. Dobrze. Ujawniliśmy się następnego dnia. A sowieci kazali nam broń oddać — samemu przynieść na grzbiecie wszystko co mieliśmy ukryte. Dobrze. Przytaskaliśmy wszystko, a dużo tego było. Kazali złożyć na kupę i dalejże nas rugać — wy tacy owacy, taka wasza mać i tam dalej... Postawili przy nas straż. To w nocy nie czekając dalszego ciągu dałem nogę do lasu. Tym sposobem stałem się

czarną reakcją — bandytą i faszystą. Pan może być kim pan chce — ja pana mam gdzieś... Z lasu wróciłem na czas — miałem na tyle rozumu. Ale inni przegapili moment i teraz nie mają wyjścia. Dużo jest wśród nich prawdziwych bandytów — nie przeczę. Albo ludzi, którym spodobało się takie życie. Tych trzeba wytępić. Pan wie — facet nie lubi oddawać broni, jak się do niej przyzwyczai. Ale dużo jest ludzi, którzy chcą wrócić, tylko nie mają odwagi. Gnić w kryminale nikomu się nie uśmiecha. Nie powinno się im zamykać drogi, — powinni móc wrócić.

Wszystko to całkowicie uznaję, co pan mówi — przerwałem, — ale pan nie zrozumiał mojego pytania. Ja chciałem wiedzieć, czy pańskim zdaniem było słuszne ze strony kierownictwa Armii Krajowej ryzykowanie takiego kataklizmu, jaki musiał nastąpić w razie niepowodzenia powstania.

Ze strony kierownictwa? O kim pan mówi? General Bór był takim samym żołnierzem jak ja i słuchał rozkazów. Rozkaz przyszedł z Londynu. Czy był słuszny — nie wiem. Może nie był słuszny... bośmy przegrali. Jakby był słuszny — tobyśmy zwyciężyli — no nie? Ale to już inna sprawa. Nie moja. Coś tam nie klapowało — to pewna. Czekaliśmy ciągle na pomoc — pomoc nie nadchodziła. Cały świat sprzysiągł się przeciwko nam. Podłość ze wszystkich stron. Rosjanie kupiliby na zawsze Polaków, gdyby pomogli Warszawie. Na zawsze! Może nie mogli — nie wiem. Coś tam nie klapowało między londyńskim rządem, a sowietami. Ale dlaczego nie klapowało? — Cholera wie. — Wszystko granda i głupota... I nagle zaczął chrypieć i kaszlać. Szeroka jego pierś wznosić się zaczęła i opadać. Ukrył głowę w obu dłoniach, czarnych od smarów samochodowych i usiadł ciężko na kawale muru. Brylant na serdecznym palcu to chwytał ognie ze słońca, to gasł wstrząsany spazmami ciała. Łkał jeszcze kiedy odchodziłem z rozdartym sercem — łkał kiedy obejrzałem się z daleka — samotny i tragiczny jak Jeremiasz na gruzach Jerozolimy.

* * *

Na Starym mieście rządzi niepodzielna cisza. Góry cegły i kamienia spod których sterczą kikuty ścian i strzaskanych gzymsów... Tam już nikogo się nie spotyka. Rynek Starego Miasta wygląda jak Hala Gąsienicowa. Teren wznosi się pagórami, aż ku poszarpanym graniom dookoła — które, kiedy w dole zalega już wieczorny mrok, palą się w słońcu czerwono i egzotycznie. Każdy strącony kamień, każda potrącona cegła odzywa się tam wielorakim echem. Moje kroki są tak głośne, że chciałbym iść na palcach. Z daleka z Krakowskiego Przedmieścia nadlatuje piosenka przechodzących żołnierzy, odbija się o zwaliska ze zdumiewająca wyrazistością, jak amplifikowane przez echo zawodzenie juhasów. Właśnie tak jak w górach.

Potem jest znowu cisza i słyszę chrzęst własnych kroków. Ale wkrótce na Rynek wpadają jak dwa gołębie, dwa chłopackie głosy — poważne i skupione. Mówią o kabzlach do strzelania. Mają młotek i słyszę wyraźnie jak się o niego sprzeczają. Za chwilę cały Rynek zatrzęsie sie od hałasu. Odgłos wybuchu kabzli jak wybuch granatu przetoczy się echem i ucichmie. Potem druga, trzecia — wala zaciekle młotkiem wzbudzając wspomnienia grzmotów niedawnych — straszniejszych. Za chwilę zobaczę ich na szczycie jednej z ruin — zginą mi z oczu

za samotną ścianą — ukażą się znowu z dziurawego okna. Zbiegają teraz na dół, zabawa wiedzie ich do piwnic, skąd znowu ciszę rozerwie trzask kabzli. Teren wymarzony do zabawy. W co się bawicie? W powstanie. A gdzie byłeś podczas prawdziwego powstania? Tutaj, na Wąskim Dunaju. Bałes się? — pytam głupio (nie umiem rozmawiać z dziećmi — peszą mnie). Co się miałem bać — nikt się nie bał... Nudzi go najwidoczniej ta rozmowa, więc wali dziurawą czapką w łeb towarzysza, który monetalnie reaguje, rzucając za nim pół cegły. Odbiegają w kierunku Nowomiejskiej.

Znowu cisza. Słońce praży jak w górach. Ale w powietrzu unosi się subtelny pył — czuje się go między zębami — pokrywa różowym nalotem karty szkicownika. Rozciągam się na głazie. Gdzie jestem? Czy to możliwe, żeby ci ludzie to wszystko przetrzymali? Przypomina mi się opowiadanie mojej młodej przyjaciółki o wyjściu ostatnich oddziałów powstańczych ze Starówki. Wyglądało tu już wtenczas tak jak teraz, mówiła. Byliśmy wszyscy czarni od dymu, zdziczali od nieludzkiego bombardowania. Wtedy przyszedł rozkaz wycofania się kanałami aż do śródmieścia. Kanał na 90 cm. średnicy. Jak się w to zmieścić — jak w pochyleniu wytrzymać kilka godzin żółwiego posuwania się po pas w nieczystościach. Komendę dawano pociągnięciami sznura, który łączył ten niesamowity orszak zgiętych postaci. Na skrzyżowaniach możnaby się rozprostować, ale tam właśnie czyhają na górze Niemcy i przy najlżejszym odgłosie rzucają granat. Straszliwy łoskot wybuchu w zamkniętej przestrzeni wdziera się do kanału. Nie cofać się — nie cofać — bo to śmierć od zaduszenia. Trzeba iść naprzód bez przerwy i w tym samym tempie — raz, dwa — raz, dwa — raz, dwa — o, Boże, kiedy się to skończy... raz, dwa — sygnał sznurem — stać — sygnal sznurem — naprzód — nogi natrafiają na obłe miękkie przedmioty — to depczemy ciała zabitych i rannych, którzy upadli — naprzód, naprzód — jest mdło — strasznie mdło w dołku — zgięty grzbiet piecze jak rozpalonym żelazem — uwaga — światło — to jest otwór na skrzyżowaniu — na górze siedzi zbir w hełmie szturmowym — wrzuci granat czy nie wrzuci — wrzuci czy nie — raz, dwa — raz, dwa — raz, dwa — wrzuci czy nie — przekrój kanału jest okrągły — stopy trzeba stawiać równolegle — nigdzie pionu ani poziomu — w głowie się kręci — Boże, jak mdli — kto się poślizgnie już nie odzyska równowagi — stopy kobiece i męskie przejdą po nim — rozgniotą mu usta, piersi, brzuch — ostrożnie — raz, dwa — raz, dwa — raz, dwa — raz, dwa...

Moja przypaciółko — markietanko, jesteś duża i ciężka. Zawsze dokuczało ci serce... Moja młoda przyjaciółko — markietanko, już wiem dlaczego twoje włosy są białe...

Koło mnie usłyszałem delikatny szelest. Odwróciłem głowę. Na kawale rzeźbionego gzymsu siedziała łasica i patrzyła na mnie czarnymi oczkami, jak na intruza.

Przyroda obejmowała z powrotem we władanie zbankrutowane królestwo człowieka.

* * *

Halina Zalewska, żyła lat 18, zginęła śmiercią tragiczną dnia 3.8.1944r. Tadeusz Słowik, żył lat 52, rozstrzelany w powstaniu dnia 8. sierpnia 1944. E. Kowalewska, żyła lat 20, poległa w obronie Warszawy 5. sierpnia 1944. Władysław Wodecki, lat 40, Stanisław Siara, lat 38, zginęli z rąk barbarzyńców 7. sierpnia 1944.

Z początku czytałem wszystkie napisy na tabliczkach. Ale potem widziałem ich już zbyt dużo... Wokół spalonych kościołów, na spustoszonych skwerach, na placach, w podwórzach domów — wszędzie. Błąkałem się pośród ruin otępiały. Przy czarnych krzyżach bohaterów nie odmawiałem już „wieczne odpoczywanie" i mijałem cmentarze bez mrugnięcia powiek.

Przeszedłem już całą skalę emocji i wzruszeń. Nasyciłem niejako całą swoją chłonność... Pozostał mi tylko gniew.

Patrzę na rozwalone domy — cóż za bezsens! Co za zupełny bezsens... Budowali sobie ludzie przez wieki to miasto dobre. Domy miały chronić ich od zimna i słoty. Gromadzili dobytek — skromny, wzruszający, ludzki dobytek,— szafy, talerze, fotografie. A na zimę mieli ciepłe kołdry. Hodowali dzieci czysto ubrane. Chcieli żyć jak ludzie. Jakie szaleństwa, jaki obłęd nieznanego jeszcze w tej skali niszczenia, opętał rodzaj człowieczy? Świadomość bezsensowności tego co się stało uderza mnie tak przejmująco, że przesłania mi wszystkie inne doznania. Stoję na placu Napoleona i gestykuluję. Komu się to przydało i na co? Patrz — Prudential sterczy, jak olbrzymi kosz do śmieci — patyki jakieś z niego wyłażą — widać go cały na wylot. Nie, tego już nie można dłużej wytrzymać! Muszę wyjechać z Warszawy. Po co? W imię czego to wszystko zrobiono? Hitler? — cóż to za facet? Czy masz na myśli tego z wąsikiem? Dlaczego go od razu nie zamknięto? Niemcy? Polacy? Absurd, ależ zupełny absurd. Koszmarny idiotyzm! A to, Poczta Główna — wygląda sobie nieźle, co? warto ją było budować!

Kiedyś toczono wojny religijne. Palono miasta i wyrzynano mieszkańców o to, czy na Sądzie Ostateczym ludzie powstaną z martwych z ciałem czy bez ciała. Dziś całe zagadnienie wydaje się nam co najmniej — teoretyczne. I trudno nam uwierzyć, że w sporze o przekonania religijne można było przelać tyle krwi i łez ludzkich. A czyż nacjonalizm naszego stulecia nie jest równie absurdalny? I czy ludzkość zdąży sobie uświadomić jeszcze ten fakt oczywisty, wobec ulepszonych sposobów samoniszczenia?

* * *

Jechałem z Warszawy do Łodzi przepełnionym pociągiem. Wagony wyłącznie III klasy — nieremontowane wewnątrz od dawna. Ale pociągi chodzą doskonale, nie spóźniają się nigdy. Kolejarz polski nigdy nie zawodzi.

Zawodzi dystrybucja — mówi urzędnik Spółdzielni „Społem", który jedzie ze mną. W jednym miejscu jest nadmiar wszystkiego, a w drugim nie ma nic. To dlatego, że mamy za mało taboru. Niemożliwe jest obsłużenie wszystkich potrzeb. Niech pan weźmie takie Sandomierskie — kiedyś śpichlerz pszeniczny całej Polski — dziś panuje tam straszliwy głód. Wojna przetoczyła się tam żelaznym wałem tędy i z powrotem — kilka razy. Kraj wygląda jak ta podłoga. Ani chałupy, ani płotu, ani drzewa. Pola nie-obsiane. Ludzie mieszkają w ziemiankach. Dzieci nie wychodzą na światło dzienne, bo nie mają ubrania. Ślepną. Gruźlica zbiera straszliwe żniwo. Tym ludziom trzeba dowozić wszystko, absolutnie wszystko, żeby ich uratować. Jakoś niebardzo to idzie jeszcze... Ale pociagi chodzą nie tylko w Centralnej Polsce, gdzie warunki bezpieczeństwa są normalne, ale także na wschód, na północ, w Białostockie. Nierzadko się zdarza, że załoga kolejowa toczyć tam musi zacięte-

walki z leśnymi bandami. Zdarza się, że jacyś ludzie zatrzymują pociąg, włażą do wagonów z rozpylaczami, każą wysiadać oficerom polskim i rosyjskim, odbieraja im broń, rozbierają do naga i... kulka w łeb. Cywilów na ogół nie ruszają.

Co to za ludzie — czy ich pan widział? pytam starego kolejarza, który siedzi w tym samym przedziale. Nie wiem, panie — nie wiem. Człowiek nic już nie rozumie. Polacy do Polaków strzelają. Koniec świata. Wsie rabują, i bydło mordują. A mówią, że niby o Polskę im idzie. Boga się nie boją. Wszystkie tam pan zobaczy mundury — wszystkie usłyszy pan języki — polski, rosyjski, ukraiński niemiecki — kto tam wie, kto oni. Uzbrojeni są po zęby, mają nawet czołgi. Dopust boży powiadam panu — dopust boży. Człowiekowi lepiej się w to nie mieszać, bo i wyrozumieć trudno...

Łowicz, woła konduktor. Łowicz — świeża woda — gorące parówki — piwo lemoniada — jajka na twardo — świeża woda — świeża woda...

Siedziałem przy oknie i patrzyłem na świat. Jaka jest Polska dzisiejsza? Nie wiem nic więcej niż wiedziałem. Może jest taka sama jak była... Tylko smutniejsza. Może żaden naród nie jest w stanie przeskoczyć szczebli swego historycznego rozwoju? Nie zagłębiałem się w sprawy społeczne i polityczne — jakże mam teraz odpowiedzieć na to pytanie?

Patrzyłem tylko na ludzi — ludzie są ci sami. Rewolucje nie udają się nigdy w gruncie rzeczy. A może zmiany, które zachodzą po pierwszym okresie efektów są tylko niewymierne, niedostrzegalne w okresie życia kilku zaledwie pokoleń?

Przez okno wagonu przepływały ukwiecone sady, kołysały się zielone zboża — łan za łanem odpływał jak morze. A w tym morzu stały topole i ocieniały błękitno bielone chaty. Baby kopały w polu i odwiecznym, hieratycznym ruchem przesłaniały oczy, spoglądając pod słońce. Spokój i cisza wisiały w wiosennym powietrzu. Z daleka słychać było beczenie bydła.

I zdawało mi się, że polami płynie błogosławieństwo... Ale kiedy podniosłem oczy ku niebu, zobaczyłem na skłębionych obłokach niknące cienie Czterech Jeźdźców Apokalipsy.

Jaka jest Polska? Nie wiem.

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

E L E G I A

nad łanami łąk sfalowanych
w mozolnym wieczornym pochodzie
sztandary — żagle
konie — polne fregaty
szable tną ciemniejący wiatr
na długie smugi zachodu

horyzont się zwężył
oblega
natarł ze wszystkich stron:
na okrągłvm ekranie lornetki polowej
prześwietlenie śmierci
jeszcze przed świtem

po wędrowaniach odpoczywanie
leża zimowe na zwaliskach huku
po tamtej stronie wybuchu

plusk pocisków w oceanie wizji
przypływ słonych wspomnień
zakrapianych piekącą jodyną

zalew powolny
dźwięcznego miasta gondol
gdzie klucz wiolinowy
otwiera bramy wieczoru
gdy tramwajowe pudła muzyckie
po pięcioliniowych powracają torach
do końcowej remizy akordu
usypiając po drodze
rozgęglone harfy w domach fletnich

stary pochyły zmrok
stąpa powoli
unisono
w górę gamy
po zżółkłej klawiaturze
klatki schodowej

na czwartym piętrze
metropolitalnej pustyni
świerkowy pustelnik — emigrant
otrząsa babie lato
ze schnących gałęzi choinki

trudno chorał zbawienia wydzwonić
kiedy się sercowy napletek
ze żwirowym ściera osierdziem
w niepoczytalnym konflikcie
i w dziennikarskich gorzelniach
wieszczkowie — podmywacze
pędzą zatruty samogon
na bój

miejscy cyganie
wędrujemy w kamiennych wozach
wytykani palcami przechodniów

pocieszają nas widma na szybach
groźne defilady
pod tryumfalnym łukiem paranoi
wizje kliniczne
klekocą w rozśrubowanym
kalejdoskopie źrenic

kawaleryjscy żałobnicy
kłusują nam
po napiętym
kirem okrytym bębnie ulicy
głodne języki nieziemskiego ognia
liżą kwaśne lufy karabinów

gigantyczny łoskot
podważający grobowe płyty ulic
i stal
ogromny wicher szabel
w niebo rzuconych z kopyta

duch wielkopaśnego dziedzica
któremu
młody elementarz
paznokcie liter na gardle błękitnym na zawsze
zacisnął
czarną powiał chorągwią
tuż przy trumiennej lawecie

zabalsamowanego proboszcza
przemytnika
eucharystycznej kokainy
z nieba do wsi zawszonej
z śmiertelną pręgą na szyi
wiozą ułani w taborach
w amunicyjnych jaszczach zemsty

zmiecione
jak plewy
podmuchem dziejowej eksplozji
z dywanów
na burdelowy bruk
panie beżowe
modlą się na pamiątkowym różańcu:

— o niechaj wracają
na białych koniach
oficerowie kawalerii
w utęskniony dzień zmartwychwstania
atomowego chrystusa
odkupiciela rynków zbytu

klucz zgrzyta
nabrzękły lekarz
w białym fartuchu
zbiera pianę
z brzegów
wzburzonych zatok świadomości
— lecz huk trwa pod ziemią
— tentent kopyt za ścianą

kawaleria kolorowa
amarantowa białosina
konie w malignie
bębny biją pod wodą
szabla gnie się o szpitalne kraty

a hetman?
hetman rękę trzyma na buławie

coraz niżej
pułk po pułku
katafalk w kirze
straż honorowa
na generalski pogrzeb

ze skrzypem bolesnym
zamykają się
za orszakiem carskie wrota

bram tych już nie otworzy
dziennikarski wytrych
ani pastorał biskupi swego zła nie odpuka
chór obłąkanych
nie wywyje tych sotni zza wrót

stłumiony, bezsilny warkot
werbli z zaświata
kiedyś będzie tylko
budził po nocy
traktory śpiące po stodołach

maszyny wiejskich elektrowni
wśród długich nocnych szycht
będą słuchały
ech
dalekich
niepowrotnych
kopyt ułańskich

LEON RAPPAPORT

SEMINARIUM

Z powodu wczesnej pory zaledwie kilka osób było w lokalu seminarium. Ożywiony ruch rozpoczynał się dopiero o godzinie siódmej.

Przy długim stole siedziała panna Irena — brzydka i pozbawiona wszelkiego wdzięku studentka. Czarne włosy z przedziałem po środku zebrane były z tylu w wielki węzeł; wyłupiaste, ciemne oczy pod gęstymi, czarnymi brwiami były pozbawione wyrazu — ogromny nos, małe ściągnięte usta i jakby opuchnięte policzki dopełniały reszty — miała nadto zbyt wydatny biust. Przerzucała kartotekę umieszczoną w podłużnej tekturowej skrzynce — pisała monity do osób, które przetrzymywały wypożyczone z biblioteki seminaryjnej książki. Studiowała na uniwersytecie już około 10 lat. Od 8 lat pełniła bezinteresownie pomocnicze funkcje administracyjne w seminarium. Trudno byłoby teraz dociec dlaczego właściwie zapisała się przed 10 laty właśnie na wydział matematyczny, a nie na jakikolwiek inny. Czuła się tu, w samym centrum ośrodka naukowego, u siebie. Zaspakajało to jej ambicję — wszystko co tu było — ustawione wzdłuż ścian szafy z rozsuwającymi się oszklonymi drzwiami, pełne książek, wielkie oszklone gablotki z ustawionymi wewnątrz najróżnorodniejszymi o dziwacznych kształtach bryłami z gipsu i wymyślnymi rusztowaniami z drucików, ogromne głębokie szafy z przyrządami mechanicznymi, marmurowe popiersia — to wszystko należało w pewnym stopniu do niej. Było coś poufałego w jej stosunku do samego lokalu i do rzeczy, którymi był wypełniony; a że innym to samo miejsce i te same rzeczy wydawały się uroczyste i wzbudzały nieśmiałość —

czuła się wywyższona nad nich, nabierała pewności siebie i poczucia własnego znaczenia. Głęboki nurt przesuwającej się tu nauki pozostawiał ją jednak zimną, nietkniętą i niewzruszoną — omijał ją, jak płynące wody mijają kamienny filar mostu.

Przy tablicy magister Burke, który przed chwilą przyszedł, prowadzi ożywioną rozmowę z doktorem Przybyszem, starszym asystentem seminarium, Gestykuluje żywo, stuka kredą wciąż w to samo miejsce na tablicy, i jest ono już prawie zupełnie zamazane; jest podniecony, na twarzy jego maluje się natchnienie; jego gesty są sugestywne; oto w tej chwili wyciągnął przed siebie ręce trzymając je w sporej odległości od siebie i złożył dłonie jakby podtrzymywał wielką szklaną kulę. Zdawałoby się, że panna Irena powinna była zrozumieć coś z tego o czym mówili — dotyczyło to zresztą jej specjalności. Rzeczywiście przestała przerzucać kartki, odwróciła nieznacznie głowę w ich stronę, wpatrywała się w jakiś punkt na stole, trzymając między wielkim i wskazującym palcem pióro, pionowo oparte o stół. Czekała, gotowa w każdej chwili powrócić do swego zajęcia, aż skończą — czekała tak jak się czeka, aż przeminie hałas przejeżdżającego wozu. Nie wypadało przecież przerwać im rozmowy w środku. A tymczasem dla magistra Burkego miała już książkę, którą zamówił, a doktora Przybysza wzywali do telefonu w sprawie zjazdu.

Przy tymże stole, bliżej okna siedzi druga wolontariuszka seminarium — panna Ola. Leżą przed nią na stole kartki katalogowe biblioteki. Jest w białej jedwabnej bluzce z krótkimi rękawami i granatowej spódnicy — marynarkę od kostiumu trzyma na ręku młody, przystojny student, który stoi pochylony za krzesłem panny Oli. Zadarła głowę w górę, patrzy na niego z boku od dołu i uśmiecha się. Jest śliczna, świeża i zgrabna. Mówi półgłosem:

— Więc niech pan przyniesie te płyty — tylko że mój patefon jest nienadzwyczajny...

I rozgląda się niespokojnie po sali.

Brzydka naturalnie nienawidzi ładnej — uważa ją za piąte koło u wozu. Twierdzi, że pracuje nieporządnie, że wprowadza bałagan i zamęt; spóźnia się na dyżury, zapomina brać rewersy na pożyczone książki; nie odkłada książek na miejsce, jak należy; wiecznieby tylko flirtowała i flirtowała i co pięć minut łapała za puderniczkę i róż...

A ładna odwzajemnia się pogardliwą ironią.

Pannę Irenę irytuje ta przyciszona rozmowa, pochylone ku sobie głowy i tłumione śmiechy. Mruczy w duchu: „Saski ogród tu się robi do licha...". Nagle odzywa się:

— Panno Olu, pani tu zapisała drugi tom Goursata na konto pana Jonesa, a tymczasem rewers jest od pana Pawlokoweskiego.

Zarzut wpada w rozbawione humory, trafia w wezbrany śmiech i wywołuje konsternację.

— Doprawdy? Widocznie pomyliłam się...

Wstaje, zbliża się do kartoteki i sprawdza. Jest zmieszana i zarumieniona.

— Tak, trzeba to poprawić.

— Ja myślę. Będziemy pisali monit do pana Jonesa, a ten przyjdzie i zrobi wielkie oczy. Nie, niech pani pozwoli, ja to już sama załatwię.

Panna Olo wraca na swoje miejsce skonsternowana i zła. Student pochyla się nad nia i coś szybko mówi, wskazując dyskretnie oczami na pannę Irenę. Po chwili oboje parskają

śmiechem. Panna Ola chwyta się oburącz za głowę, wciąga z pośpiechem, głęboko powietrze i szepcze mu do ucha poprzez tłumiony śmiech:

— Och, panie, to jeszcze nic, ale ten kapelusz, ten kapelusz. Pan to musi zobaczyć, koniecznie, koniecznie...

Doktór Przybysz stara się słuchać uważnie co do niego mówi Burke. Doktór Przybysz słucha, jednocześnie jednak myśli o czymś zupełnie innym. Rozważa mianowicie czy warto postawić przygotowane pytanie Burkemu, czy też zachować je dla kogoś innego. Ogarnia go pragnienie by zreferować to zagadnienie natychmiast. Jednocześnie jednak zjawia się w nim opór hamujący ten wewnętrzny odruch: czy nie szkoda tego dla Burkego?...

Doktór Przybysz stawia czasem swoim starszym kolegom i przełożonym pytania, ale tylko takie, które ujawniają jego wysoki poziom naukowy i daleko posuniętą specjalizację. Poziom naukowy tych pytań jest uprzednio z zachowaniem wszelkich ostrożności dokładnie sprawdzany. Doktór Przybysz zna naturalnie odpowiedź na postawione pytanie, które zazwyczaj wybrane jest tak, ażeby oprócz wysokiego poziomu zaskoczyło przeciwnika ukrytą sensacyjnością lub pikanterią.

Postawione pytanie to rodzaj wysłanej dyplomatycznej noty. Wysłana nota ma wroga zaskoczyć, pognębić go i ujawnić jego słabość — jeśli wróg jest niedość silny; i ma odsłonić własny jego, doktora Przybysza, przeogromny zapas wiedzy oraz inteligencję, a zarazem zyskać mu uznanie — jeśli nieprzyjaciel jest dostatecznie mocny. Doktór Przybysz posiada wyjątkowo subtelną zdolność oceniania ludzi, zbierających się we środy w seminarium. Ta zdolność do wydawania oceny nieuzasadnianej obiektywnie, a jednak trafnej, jest jak węch. To jest coś o czym nie mówi się, co pozostaje wyłącznie na własny, intymny użytek, a co decyduje o sposobie w jaki doktór Przybysz traktuje ludzi. Nie ma właściwie ludzi tu w seminarium, są tylko powleczone ciałami ludzkimi walory. I doktór Przybysz rozgląda się, na pozór spokojny i zrównoważony w tym zgiełku i rwetesie giełdowym, i czyni nieomylne posunięcia. Znaczenie ludzi wznosi się i opada jak kursy akcji, trzeba czym prędzej nabywać walory idące w górę i pozbywać się tych, które spadają.

Opanował chęć postawienia swego pytania: Burke posiada stanowczo zbyt mały ciężar gatunkowy. Jednocześnie zauważył docenta doktora Okulicza przeglądającego jakieś czasopismo w kącie pokoju. Burke tymczasem wciąż mówił, argumentując od czasu do czasu za pomocą żywej gestykulacji i rysując jakieś kreski i spirale na zasmarowanej kredą tablicy. Doktór Przybysz skupił na chwilę uwagę, uchwycił kilka ostatnich zdań, nagle przerwał mu i wypowiedział jakieś niezmiernie ogólne, a zatem mało obowiązujące wątpliwości. Przez grzeczność, ale już lekko zniecierpliwiony — postać docenta Okulicza wywoływała w nim bowiem ostre poruszenia wewnętrzne i potrzebę natychmiastowego czynu — odczekał replikę Burkego, ale gdy tamten zamierzał powrócić do meritum rozważanej sprawy przerwał mu ponownie:

— Nie, nie mogę się z panem zgodzić; zresztą musiałbym nad tym pomyśleć; ale w tej chwili muszę już pana przeprosić, bo właśnie mam pilną sprawę do omówienia.

I odszedł. Magister Burke, któremu przerwano wywody w połowie zdania, pozostał zmieszany i nieruchomy ze zwisającymi

bezwładnie rękami. W prawej dłoni trzymał wciąż niepotrzebną już kredę. Na twarzy jego pozostało podniecenie i jakby zastygły głupkowaty uśmiech — mieszanina pozornego grzecznościowego uznania ważności powodów, które skłoniły doktora Przybysza do przerwania rozmowy i niewysłowione uczucie poniżenia i własnej słabości. Po chwili odwrócił się do tablicy i stał z opuszczoną głową dłuższy czas, jakby namyślając się. Wyprostowywał na tablicy nierówne kreski i poprawiał kropki, ażeby były okrągłe.

Docent doktór Okulicz przywitał doktora Przybysza chłodno, a nawet lekceważąco. Uniósł pochyloną nisko nad książką głowę, popatrzył zza okularów kto to mu przeszkadza i wyciągnął na przywitanie rękę; po czym prawie natychmiast opuścił głowę z powrotem. Ale doktór Przybysz jeszcze coś mówił, spojrzał tedy pytająco i z odcieniem niezadowolenia; po chwili jednak zmarszczył brwi i nachmurzył się, coś widocznie wydało mu się interesujące.

— Zaraz, zaraz, więc jak pan mówi?

Przeszli do tablicy. Doktór Przybysz z pośpiechem wycierał tablicę; gąbka była sucha; ujawniając zatem gorliwość, a zarazem wyładowując podniecenie, wymyślał na nieporządki i na nieudolność woźnego. Wreszcie zabrał się do referowania sprawy. Trwało to dosyć długo. Okulicz stał nachmurzony i patrzył spode łba: Od czasu do czasu potrząsał przecząco głową w sposób ledwo dostrzegalny, unosił oczy ku górze jakby sobie coś przypominając; nie zmieniał przy tym postawy ciała ani nie poruszał głową, jak gdyby zbędne poruszenie miało rozproszyć skupienie i rozszczepić biegnący nurt myśli; na chwilę wzrok jego pobiegł w bok, aż do prawego rogu sufitu, jak gdyby śledząc wybiegającą gdzieś myśl, lecz zaraz wrócił do tablicy. Parę osób stało teraz przy tablicy i przysłuchiwało się wywodom doktora Przybysza. Był podniecony i upojony elegancją wyniku. Wreszcie skończył wykład i z wyrazem spokoju na twarzy, spokoju który źle maskował przedzierające się na zewnątrz uczucie tryumfu, czekał na reakcję. Na chwilę zapadło milczenie. Jakiś młody jeszcze student o żywych czarnych oczach i nerwowych ruchach zaczął coś mówić. Okulicz zatrzymał na nim na chwilę swój niewidzący wzrok. Doktór Przybysz spojrzał niecierpliwie na studenta, zawołał: „chwileczkę" i zwracając się do Okulicza począł wykazywać zalety swego rozumowania. Ale Okulicz, który od pewnego czasu najwyraźniej nie słuchał go, a nawet nie zwracał na niego uwagi i w zamyśleniu wpatrywał się w zapisaną tablicę, nagle poruszył się gwałtownie i zawołał jakby do siebie:

— No, naturalnie. To wynika po prostu ze znanego twierdzenia o krzywych eksternalnych i z prostej uwagi, że...

Kilkoma szerokimi pociągnięciami wytarł część tablicy i napisał szybko niewielką ilość wzorów i równań. Młody student o żywych oczach energicznie potakująco kiwał głową i, uśmiechając się, rozglądał się po obecnych, jakby biorąc ich na świadków, że przed chwilą właśnie miał zamiar powiedzieć dokładnie to samo. Okulicz zwrócił się ku Przybyszowi.

— To przecież jest całkiem banalne; ale pan to tak jakoś dziwnie zakręcił, że w pierwszej chwili nie można się było zorientować o co chodzi. Po co tu było łapać prawą ręką za lewe ucho...

Doktór Przybysz patrzy uważnie na tablicę i widzi jasno, że wszelka próba obronienia sprawy będzie tylko pogłębieniem klęski. Widzi, pomimo że nie odrywa oczu od tablicy, jak

gromada ludzi otaczających tablicę rozchodzi się powoli: pozostał już tylko rozradowany, uśmiechający się student. Czuje przykre drżenie palców rąk i wzbierającą ostrą nienawiść do rozradowanego studenta.

— Tak, istotnie nie zauważyłem rzeczy, które leżały na wierzchu; zdarza się zresztą dosyć często, że gdy rzecz rozważana jest w pewnym kompleksie zagadnień, poszukuje się rozwiązania w związku z tymi właśnie zagadnieniami i nie widzi się prostych związków ze sprawami odległymi. Przez cały czas czułem, że coś jest nie w porządku, korciło mnie to rozumowanie.

Okulicz patrzył z początku spokojnie i uważnie z takim wyrazem, jakby na coś czekał. Po chwili spojrzenie jego stało się obojętne i zmętniało, patrzył gdzieś poprzez głowę Przybysza, poprzez jakiś punkt na czole, koło przedziału. Przybysz tymczasem wciąż mówił:

— Jest to właśnie dobrodziejstwo istnienia ośrodków naukowych, że można porozumieć się i zaoszczędzić sobie masę niepotrzebnie traconego czasu...

Okulicz nagle coś mruknął, to miała być najwidoczniej jakaś zdawkowa grzeczność, i niespodziewanie, w połowie zdania, odszedł.

Pozostał tylko młodziutki student i w jego żywych oczach w dalszym ciągu świecił się uśmiech. Przybysz stał przodem ku niemu: wewnętrzny skurcz wstrzymywał wszelkie poruszenia i utrudniał oddech, Przybysz czuł jednak, że musi zmienić postawę swego ciała względem studenta: to trwalo właściwie krótką chwilę, ale było straszliwie upokarzające. Po chwili odwrócił głowę ku tablicy, co miało widocznie oznaczać, że powraca ku poruszonemu zagadnieniu. Ruch głowy pociągnął za sobą nieznaczny obrót ciała; stał teraz względem studenta w pozycji trois quarts. Przeczekał dłuższą chwilę, wpatrując się z udanym skupieniem w tablicę, przysunął się bliżej niej i odwrócił się całkowicie. Po chwili, jakby przypomniał coś sobie i, nie oglądając się na studenta, szybko odszedł.

Seminarium było w pełni ożywienia. Wzdłuż długiego stołu stało i siedziało kilka osób, przeglądając czasopisma oraz świeżo pożyczone książki. Dokoła panny Ireny i panny Oli zgromadzili się interesanci. Panna Irena ponuro, z poczuciem swojej bezwzględnej wyższości, wyniośle, nie podnosząc głowy i nie patrząc na interesantów, załatwiała sprawy pożyczanych książek. Panna Ola roztaczała dokoła wesołe spojrzenia i uśmiechy, zarzucała od czasu do czasu w tył głowę patrząc w górę poza siebie na stojącego za krzesłem młodzieńca, niekiedy parskała tłumionym śmiechem.

Jakiś kudłaty student siedział obok z głową nisko opuszczoną nad książką i wskazującym palcem wodził po zadrukowanym papierze. Inni dwaj w kącie, żywo gestykulując, prowadzili zbyt głośną rozmowę. Przybysz stał przy stole i rozglądał się dokoła. Jego spojrzenie lepkie od nienawiści przesuwało się po twarzach i postaciach; wzmagał się w nim głuchy opór i irytacja, która jak odskocznia wyrzucała do świadomości intelektualizujące się zgryźliwości. W myśli padają okrzyki:

„Jak można tak wrzeszczeć tu w seminarium? Jak można do tego stopnia nie liczyć się z obecnością innych ludzi i powagą miejsca? Co za bezczelność."

Przylepione spojrzenie nie może oderwać się od tamtych dwojga. Ogarnia go rozdrażnienie, podsycane przez świadomość

własnej racji i wspólnoty interesów, w tym wypadku, z resztą obecnych. Na końku języka drży ostra uwaga. Gdyby teraz ktoś z obecnych z oburzeniem albo tylko z wyrzutem spojrzał w hałaśliwy kąt uwaga padłaby. Ale nikt nie okazał oburzenia, a po chwili w kącie nagle uciszyło się. Przeczekał w natężeniu dłuższą chwilę: a nuż zaczną na nowo; nie poruszał się. Potem rozejrzał się po sali i wzrok jego padł na pannę Irenę:

„Nadęta tępota. Minę ma jakby odprawiała nabożeństwo. Naukowa dewotka."

„Co za barbarzyństwo wodzić zatłuszczonym palcem po książce; tylko patrzeć jak tyknie brudnym nosem w papier; a te włosy pewno już od dwóch tygodni nie czesane."

„Co to jest? Jak można w podobny sposób zachowywać się w lokalu seminaryjnym? To przecież nie Luna-Park?"

Nie wytrzymał; zawołał niegłośno, ale ostrym tonem:

— Panno Olu, czy z księgarni przysłali czasopisma dla zakładu mechaniki teoretycznej?

— Jeszcze nie.

—Pani miała dopilnować tego.

Panna Ola poczerwieniała i zmieszana nachyliła się nad kartoteką. Młodzieniec który stał za krzesłem nachylił się nad nią i coś chciał powiedzieć; odpowiedziała szybko, nie odwracając się:

— Niech mnie pan zostawi teraz w spokoju...

Panna Irena spojrzała uważnie w jej stronę, potem na doktora Przybysza, wreszcie z ledwo dostrzegalnym uśmiechem nachyliła się nad formularzem, a gdy jakiś student zapytał ją o książkę, podniosła wbrew zwyczajowi głowę i wysłuchała go patrząc mu prosto w oczy.

Rozdrażnienie wzbierało w Przybyszu, osaczyło jego zmysły, potrząsało i wykrzywiało każdą przedostającą się ku świadomości podnietę. Palce rąk drżą, usta zaciśnięte, a na bladej twarzy wyraz zaciętości i cierpienia.

Pewien starszy student, który stał po drugiej stronie naprzeciw Przybysza, wyciągnął rękę ażeby wziąć pióro z tacki stojącej pośrodku stołu; chciał wypełnić rewers na pożyczoną książkę. Nagle Przybysz gwałtownym ruchem zasłonił tackę.

— Stąd piór nie wolno brać.

Zdumiony student woła.

— Ależ ja na chwilę tylko... wypełnić ten druczek.

— Nie, stąd nie wolno brać.

Chwila milczenia. Przybysz widzi, jak kilka osób wokoło podnosi głowy i czeka co będzie dalej; czuje zdziwienie i nieprzyjaźń, czuje również, że nie ma racji; ale to wzmaga tylko jego zaciętość. Musi jednak wobec rosnącego dokoła wrogiego oporu, usprawiedliwić jakoś swój dziwaczny zakaz:

— Pióra są rozwlekane po wszystkich pokojach i kątach, a kiedy jest komu potrzebne to nie ma żadnego.

Jednocześnie czuje, że to nie jest to. Stary student, którego Przybysz pamięta jeszcze z pierwszych lat studiów, stoi pochylony nisko nad stołem i patrzy z nienawiścią na Przybysza; zbladł. Doktora Przybysza ogarnia nagle wściekłość. Zbladł również. Przez chwilę stoją naprzeciw siebie w milczeniu. Nagle Przybysz wyjmuje z wewnętrznej kieszeni marynarki wieczne pióro, otwiera je, podaje studentowi i woła stłumionym od nienawiści głosem:

— Proszę, służę panu piórem.

Student wyprostowuje się, opiera się biodrem o krawędź stołu, patrzy przez sekundę z boku na Przybysza i odpowiada akcentując sylaby:

— Dziękuję panu, panie kolego.

I odchodzi.

Piotr rozejrzał się po sali z uczuciem przygnębienia. Czuł się tutaj obcy i niepotrzebny. Ludzie pożyczali książki, oglądali czasopisma, przerzucali odbitki. Wokoło panny Ireny i panny Oli było tłoczno i gwarno. Niektórzy, po otrzymaniu zamówionej książki, niecierpliwie, na stojąco przerzucali kartki, widocznie szukając czegoś. Przy obydwu tablicach ktoś coś referował, od czasu do czasu wybuchała żywa wymiana zdań — wypieki na twarzach, podniecenie. Piotr zbliżył się do tablicy, postał, posłuchał, przeszedł do drugiej; potem z pewnego oddalenia przysłuchiwał się rozmowie Okulicza z profesorem Radeckim; przysłuchiwało się jeszcze kilka osób. Wszędzie rozmowy dotyczyły tematów o daleko posuniętej specjalizacji, niewiele z tego rozumiał. W pewnej chwili, gdy znalazł się przy stole, ogarnęło go uczucie niepełnowartości, czuł się porzucony tu przez zły los, opuszczony i samotny; nikt tu do niego nie podejdzie, nikt nie ma i nie może mieć do niego żadnego interesu. Tuż obok porozumiewało się dwoje ludzi, pochylonych nad kartką papieru; jeden patrzył w skupieniu na zapisaną kartkę, drugi jakby w oczekiwaniu patrzył z góry na jego głowę. Nieco dalej dwie głowy pochylone nad odbitką i trzecia zaglądająca z boku, nagłe uderzenie pięścią w stół i wesoły okrzyk: „a mówiłem". Przeszedł stary dziekan w towarzystwie doktora Przybysza, ugrzecznionego i posuwającego się nieco bokiem, z nadmiaru uszanowania — ci mówią o jakichś sprawach administracyjnych i gospodarczych. Opodal w grupie docentów Okulicz wysłuchuje z rozpogodzoną twarzą najświeższych dowcipów, parę osób śmieje się. Ale za głupstwami o których mówią, tkwi wciąż to poczucie własnego znaczenia, wartości i zasług. Za błahymi sprawami trwa przyczajona w pogotowiu powaga i doniosłość uprawianej wiedzy; jej obecność zdaje się podkreślać i akcentować właściwy sens wytwarzanego nastroju. Niech ktoś w tej grupie przypomni sobie coś, co w trakcie jego naukowych poszukiwań wydało mu się uderzające i rzuci jakieś zapytanie lub uwagę — spłoszone uśmiechy znikną z twarzy, a cały nastrój lekkiej beztroski rozwieje się łagodnie i szybko jak rozwiewa się w słońcu poranna mgła. I dlatego gdyby to Piotr zaczął mówić tu o błahostkach byłby w tym nieznośny fałsz, rozbieżność pomiędzy tym co jest niby poza tymi błahostkami obecne i co je usprawiedliwia, a faktyczną jałową pustką.

Jego sprawy, sprawy literatury, malarstwa, muzyki, pozbawione wszelkich znamion ścisłości — spotkałyby się tu z oporem i odrazą; byłoby straszne gdyby poruszył tu coś takiego. Na chwilę ogarnęła go tęsknota za ścisłą wiedzą, o rozbudowanym aparacie technicznym, tą wiedzą, która daje oparcie o ustalone fakty i w tym oparciu stwarza możność odnalezienia spokoju, ukojenia i pewności. Wewnętrzny poryw przybrał na krótkie mgnienie postać postanowienia: zabierze się do roboty, odrobi zaległości. Przysunął do siebie leżący na stole gruby tom kursu Analizy, usiadł i począł go przerzucać. Próbował z a n u r z y ć się w tę wiedzę, ale wiedza okazała się ciężka jak rtęć i natychmiast wypchnęła go na powierzchnię. Ponowne wysiłki nie odniosły żadnego skutku. Zatrzymał się na dowodzie pewnego

twierdzenia, które dawniej sprawiało mu trudność. Usiłował zrozumieć istotę rozumowania, ale czegoś mu brakowało, czuł opór i zamęt myślowy. Tu rozpędem nic nie dawało się zrobić. Czuł się jak człowiek, który opada z sił i zrezygnowany osuwa się na ziemię. Patrzył bezmyślnie niewidzącym wzrokiem w książkę. Dokoła był wciąż wesoły, ożywiony gwar. Ktoś trącił go nagle w łokieć, ocknął się; młody student wskazywał mu na pannę Irenę, która siedziała po przeciwnej stronie stołu, nieco dalej. Patrzyła na niego zaperzona, złym wzrokiem; powiedziała mrożącym tonem:

— Pan będzie łaskaw oddać tę książkę; jest zamówiona.

Zamknął tom, posunął do niej; usiadł bokiem do stołu: założył nogę na nogę, głowę oparł na dłoni. Był sam i opuszczony. Jego osamotnienie było tym głębsze, że dokoła siebie widział ruch, ożywioną wymianę myśli, ścieranie się ambicji. Nie był w stanie brać w tym udziału i zarazem nie mógł stąd odejść. Coś przykuwało go do tego miejsca, oczekiwał jakby czegoś jeszcze; ale było w nim tylko przygnębienie, bezbarwne i ponure; siedział wciąż i bezwiednie grzebał się we własnym cierpieniu. Przechodził doktór Przybysz, zatrzymał się, przywitał. Powiedział kilka słów; dostatecznie dużo, aby stało się zadość niezbędnej formalności i dostatecznie mało, aby okazane zostało lekceważenie i zaakcentowana własna wyższość. Spojrzał przy tym aż dwa razy w kierunku w którym szedł, jak gdyby to przywitanie trwało już zbyt długo, tam zaś gdzie patrzył oczekiwała go sprawa ważna i pilna. Piotr znów pozostał sam.

Nagle podszedł do niego docent doktór Okulicz. Piotr zauważył jak opuścił ozywioną grupę, obejrzał się w jego stronę i uśmiechnał się, ale nie przypuszczał, że to do niego, znał go bardzo mało. Okulicz pochylił się z wyrazem uprzejmości na twarzy.

— Co u pana słychać?

Piotr wstał. Był zaskoczony i zmieszany.

— Czy pan już zdawał egzamin końcowy? Słyszałem, że pan interesuje się teorią jednolitą pola grawitacyjnego i elektromagnetycznego... Czy pan nie uważa, że sytuacja jaka się w tej dziedzinie wytworzyła, a która przedstawia się dość beznadziejnie, pochodzi po prostu stąd, że wszelkie podejmowane próby sprowadzają się do uogólnień w gruncie rzeczy mechanicznych? Gdy tymczasem rozwiązanie zagadnienia zależy najprawdopodobniej od jakiegoś uogólnienia istotnego, którego teraz oczywiście niepodobna przewidzieć. Sytuacja jest w pewnym sensie analogiczna do tej, jaka się w swoim czasie wytworzyła, kiedy usiłowano za pomocą wektorów opisywać różne rzeczy, na przykład, rozkład napięć w ośrodku ciągłym; wszelkie próby naturalnie do niczego nie doprowadziły, bo doprowadzić nie mogły, bo rozkład napięć w ośrodku ciągłym to nie jest pole wektorowe, lecz pole tensorowe. To jest coś na kształt wpychania skrzypiec do niewłaściwego futerału. Jest rzeczą podziwu godną upór, z jakim ponawiane są wysiłki do zbudowania teorii jednolitej na tej samej wciąż, a moim zdaniem jałowej drodze. Czy pan nie uważa, że tak jest w istocie?

Piotr słucha zażenowany. Okulicz rozmawia z nim jak z równym, pyta go o zdanie i Piotr czuje się jak człowiek przyłapany na gorącym uczynku oszustwa. Tuż obok wyrasta, jak spod ziemi, milcząca postać młodego studenta z dużymi, sterczącymi uszami i wyrazem uznania wyższości na twarzy: Stoi nieruchomo, w postawie pełnej uszanowania, w odległości jednego kroku i słucha, jego ciało przechylone jest ku przodowi,

oczy na pochylonej lekko głowie patrzą nieco ku górze; w kącikach ust i w napiętych rysach podnieconej twarzy przyczaił się w pogotowiu nienarodzony jeszcze uśmiech uznania. Piotr spogląda na niego przelotnie i odzyskuje powoli utraconą swobodę i sprężystość poruszeń; jego postawa ze skrępowanej i sztywnej staje się prawie niedbała. Ktoś zatrzymał się obok nich, chce przejść, ale nie może; Piotr lekkim dotknięciem dłoni zwraca uwagę Okulicza, że zagradza przejście i zarazem posuwa go; dotknięcie jest uprzejme z lekkim odcieniem poufałości.

Okulicz ilustrował swoje wywody na jakimś prostym przykładzie. Piotr nie rozumiał; ogarnęła go tłumiona trwoga, aby się z tym nie zdradzić. Sposób, w jaki potraktował go Okulicz podźwignął go na poziom, na którym wypadało zorientować się z miejsca. Był tedy zajęty własnym stanem dezorientacji i płynącymi stąd obawami i nie mógł osiągnąć spokojnego skupienia, które by przyniosło zapewne rozwiązanie trudności. To o czym mówił Okulicz było dla niego, jak zamglony obraz w źle nastawionej lunecie. Obawiał się zadawać pytania; chwila zastanowienia — nastawienie obrazu na ostrość — wydawała mu się kompromitacją. Patrzył tedy w niewyraźne kontury i nie mógł się w tym obrazie rozeznać, a zarazem szukał sposobu, aby nie zdradzić się z tym co widzi i usiłował stworzyć pozory, że obraz widzi w całej jasności. Trwał tak w czujnym pogotowiu, ażeby w chwili tworzenia się kompromitującego wyłomu — ratować się pozorami. Ale ta czujność absorbując myśl uniemożliwiała skupienie uwagi, wpatrywanie się w rzecz, przesłaniała wzrok i powodowała że nie widział nawet rzeczy prostych, które mógł dojrzeć z łatwością, gdyby je oglądał w spokoju i bez obawy kompromitacji. W pewnej chwili wypowiedział jakąś bardzo ogólnikową watpliwość którą Okulicz skwapliwie podchwycił i zaczał rozwijać. Wszystko szło zatem pomyślnie, oszustwo dotąd nie zostało ujawnione. I, jak to bywa zazwyczaj, niepewność i trwoga, największe na początku grożącego niebezpieczeństwa ustępowały powoli, aczkolwiek niebezpieczeństwo bynajmniej nie stawało się mniejsze; napięte w bezwiednym pogotowiu mięśnie ciała rozluźniły się, a w świadomości opadały więzy, krępujące myśl.

Okulicza wezwali do gabinetu kierownika seminarium. Przerwał wywody w połowie zdania i zapowiedział, że niebawem wróci. Student ze sterczącymi uszami wydobył wreszcie z siebie ów przyjazny uśmiech uznania. Zbliżył się do Piotra i grzecznie poprosił o jakieś wyjaśnienia. Uczy się właśnie rachunku tensorów i nie rozumie dlaczego...

Piotr tłumaczy. W jego postawie i tonie wyczuwa się ledwo dostrzegalną protekcyjność i jakby dobrotliwą wyrozumiałość względem studenta. Myśl do niedawna jeszcze hamowana, trwożliwa jak bite zwierzę, obawiająca się unieść do góry głowę — nagle odzyskuje pewność siebie. Piotr nie wdaje się w szczegóły, mówi w sposób inteligentny i ogólnikowy, wskazuje zachwyconemu studentowi szerokie perspektywy myślowe, a uszczęśliwiony student, któremu nie chodziło w gruncie rzeczy o żadne wyjaśnienia, delektuje się rozmową z wysoko postawioną w hierarchii naukowej osobą: student jest jeszcze bardzo młody.

Uczucie niepełnowartości zniknęło bez śladu. Jakże to się stało? Wzbudzała je przecież świadomość braków i luk w posiadanym aparacie analitycznym, nie znał po prostu mowy, którą posługiwano się tu, był analfabetą; można było zaskoczyć go najprostszym pytaniem. Każde zetknięcie się z człowiekiem

na tym terenie przynosiło dręczące uczucie niższości i groźbę klęski, już sama możliwość zetknięcia się była przygnębiająca. Rozmowa z Okuliczem powinna była, zdawałoby się pogłębić uczucie niepełnowartości, była bowiem jaskrawym uwydatnieniem i zaakcentowaniem istniejącego stanu rzeczy. Ale tak się złożyło, że ten stan rzeczy nie został ujawniony. Natomiast w rachunku obiegowych wartości seminaryjnych ukazała się wysoko wartościowa pozycja w postaci swobodnej, jak równy z równym, rozmowy z Okuliczem. Ta pozycja wycisnęła uniżony uśmiech uznania na twarzy studenta, spowodowała, że parę osób obejrzało się z odcieniem szacunku, a panna Irena rzuciła na niego spojrzenie takie jak gdyby sobie coś przypominała, i nagle zawołała:

— Pan zdaje się zamawiał drugi tom Goursat'a?

Uczucie niepełnowartości usprawiedliwione pewnym obiektywnym stanem rzeczy zanikało. Zanikało jedynie na skutek powstania pozorów, że stan rzeczy jest inny. Zdawała się wystarczać okoliczność, że fałsz nie został zdemaskowany.

Wrócił Okulicz. Student ze sterczącymi uszami dyskretnie usunął się nabok. Okulicz wziął Piotra pod rękę, nachylił się do niego z tajemniczą miną.

— Mam do pana pewien interes, ale może przejdziemy lepiej tam do kąta.

Pociągnął go za sobą.

— Czy nie mógłby pan przechować u siebie przez jakiś czas paczkę, właściwie walizkę...

— Naturalnie, miałem już te rzeczy u siebie.

— No to doskonale; dziś wieczorem przyniesie panu tę walizkę jedna pani. Aha, jeszcze jedno — zbieramy właśnie gotówkę na kaucję dla jednego z naszych towarzyszy; nie jest to zresztą wielka rzecz, wystarczy jakieś 5 złotych.

Piotr szybko wyjął pugilares i wręczył Okuliczowi 20-złotowy banknot. Okulicz schował pieniądze, postał jeszcze przez chwilę, jak człowiek, który czuje się zobowiązany i odszedł.

Piotr pozostał sam. Ustępowało podniecenie. Wewnątrz, gdzieś w piersi wzbierała fala cierpienia. Było to uczucie takie, jak gdyby się coś wewnątrz wyginało i łamało. Więc to o to chodziło. Nagle zarumienił się: po co dał 20 złotych, po co wyskoczył; żeby się postawić, przypodobać? Powiedziane było 5, trzeba było dać 5. Wstyd i rozpacz sparaliżowały na chwilę jego ruchy; stał ze zwisającymi rękami, czerwony, z głupawym uśmiechem patrzył przed siebie.

Opanowało go uczucie żalu i obrzydzenia do siebie samego. Siedział przez dłuższy czas w kącie posępny i nieruchomy; wszystko tu było obce, obojętne i wrogie. Potem cichaczem, nieco bokiem wyszedł do przedpokoju. Stary woźny Szczepan przywitał go. Uścisnął mu rękę.

— O, dawno już Pana u nas nie było...

— Tak, a co u pana słychać?

I stary Szczepan opowiedział mu o swoim małym wnuku, który był ciężko chory, ale Bogu dzięki ma się lepiej; i że dokucza mu łamanie w kościach; i że ciężko mu na starość pracować; opowiedział mu o swoich kłopotach, zmartwieniach i radościach.

W drzwiach gwałtownie otworzonych ukazała się postać doktora Przybysza.

— Szczepanie, w gabinecie pana dziekana ktoś sobie z lampy na biurku zrobił popielniczkę, całe biurko zaśmiecone.

Szczepan zakrzątnął się, zamruczał, złapał ścierkę i śmiet-

niczkę i wyszedł. Piotr postał jeszcze jakiś czas, potem powoli zdjął z wieszaka swój kapelusz i palto i wyszedł również.

Do grupy docentów przyłączył się profesor Radecki. Po chwili znalazł się przy nim człowieczek średniego wzrostu, raczej niski, z okrągłą krótko ostrzyżoną głową i zupełnie okrągłą twarzą. Twarz jest rumiana i świecąca się. Gdy ma przemówić plącze się na poczatku i jąka. Jest dyskretnie nadskakujący dla silnych, w sposób akcentowany koleżeński dla równych i jawnie lekceważący dla nic nie znaczących. To jest docent doktór Jan Dormont.

Rozmawiając z profesorem Radeckim usiłuje najwidoczniej coś osiągnąć. Ale co? Czy intencje przemówienia biegną równolegle do treści merytorycznej wywodu? Niezwykle intensywna mimika twarzy, przeciągania słów, zmiany rytmu, akcenty, w których brzmi czasem zdziwienie, to znów oburzenie, albo prośba i zachęta — każą domyślać się, że tu chodzi raczej o wyciągnięcie możliwie najwięcej z tej krótkiej rozmowy; może o zademonstrowanie wysokiej klasy rozumowania, może czegoś innego jeszcze. Radecki odpowiada cichym, znudzonym głosem. Dormont słucha w milczeniu, pełnym szacunku, a jego okrągłe oczy mają wyrażać skupienie, przenikliwość i uwagę. W ręku trzyma wypalonego papierosa. Ażeby wrzucić go do papielniczki na stole, albo do spluwaczki w kącie trzeba przerwać profesorowi, przeprosić i przejść parę kroków, trzeba zatem spłoszyć to coś nieuchwytnego, co zdaje się otaczać ich dwoje i co ma odbijać się na twarzy Dormonta. Ale Dormont delektuje się samym procesem kontaktu z człowiekiem potężnym; zajęty niedopałkiem papierosa przestaje uważać, ale jednocześnie czujnie i zarazem chciwie strzeże, aby nic nie przerwało, ani nie skróciło rozmowy. Opuszcza powoli rękę, usuwa ją nieco do tyłu, zbliża dłoń z papierosem do nogi i puszcza nieznacznym ruchem niedopałek na podłogę. Patrzy wciąż prosto w oczy Radeckiemu z niezmienionym wyrazem przenikliwości, ale uwaga jego skupiona jest wciąż jeszcze na dłoni, która manipulowała papierosem. Potem, wciąż w tej samej pozycji, nie zmieniając wyrazu twarzy, staje ostrożnie nogą na papierosie. Po chwili, gdy zabiera głos i odwraca się do tablicy, szybkim ruchem stopy odpycha niedopałek w kąt. Ale ruch wypadł niezręcznie, niedopałek obrócił się tylko i pozostał w miejscu. Wtedy Dormont z wyrazem, który miał oznaczać zniecierpliwienie, że mu coś przeszkadza, spojrzał sobie pod nogi. Profesor spojrzał również. Dormont wzruszył lekko ramionami, zdradzając w ten sposób dyskretnie swe zdziwienie i oburzenie na to, że na podłogę rzucane są papierosy. Potem odepchnął niedopałek nogą w kąt i powrócił do wywodu.

Okulicz, który również stoi w grupie docentów, od dłuższego czasu przysłuchuje się uważnie i milczy. Szykuje się widocznie do skoku.

Jego ruchy są niedźwiedziowate, ociężałe i jakby zahamowane. Gdy ma przemówić, najsampierw powie coś, po czym następuje krótka pauza i dopiero mówi dalej, powoli, ważąc każde zdanie. Każda jego przemowa ma charakter i wage wystąpienia, posiada ciężar gatunkowy. Zawsze jest w tym co powie jakaś pointa, jakieś zaskoczenie, jakieś wzniesienie się ponad płaszczyznę, w której sprawa jest rozważana, nowy niespodziewany punkt widzenia, odkrywczość. Jest to chyba sprawa nieposkromionej, a zarazem skrzętnie ukrywanej ambicji, że nie zdobyłby się na przemówienie, które nie zawierałoby cech paradoksu, elegancji, lub istotnego pogłębienia sprawy.

— Oglądał pan te listy?

— Naturalnie, któżby ich nie oglądał.

Docent doktór Dormont przerwał w połowie zdania ożywioną rozmowę, szybko odwrócił się i uśmiechając się zawołał:

— Co, listy? Mowa o Radonie, nieprawdaż?

Po twarzach przesunęły się mimowolne uśmiechy — radość pognębienia bliźniego. Dormont zwrócił się do Radeckiego.

— Czy Pan profesor oglądał już te listy?

Radecki, nieco zażenowany, odpowiada niechętnie, lekko uśmiechając się.

— Pokazywał mi pan Radon list od Painlevégo z gratulacjami z powodu osiągniętych wyników i list od Einsteina bardzo entuzjastyczny, a nawet czuły, w którym było coś o ojcostwie duchowym i o sercu.

Na twarzy Okulicza, który patrzył przed siebie, uśmiech stał się nagle intensywniejszy; wysunął brodę nieco naprzód; pocierał na wysokości piersi dłonie. Głowę przechylał przy tym nieco w bok, w oczach świecił się uśmiech i przedsmak pointy tego co za chwilę powie.

— Proszę panów, właściwie zachodzi tu nieporozumienie. Osoba Radona skojarzyła się u nas wszystkich z owymi listami; gdy słyszymy o Radonie — myślimy tylko o listach. Ale przecież z tych listów nie wynika bynajmniej, że pan Radon nie jest dobrym matematykiem.

W grupie docentów rozległ się śmiech. Okulicz śmiał się również hamowanym śmiechem.

— Podobnie jak z tego, że pan Dormont napisał książkę o topologii nie wynika bynajmniej, że się na topologii nie zna.

Rozjaśnionym, rozumnym spojrzeniem, które uderza swą przenikliwością, patrzy w jakiś obojętny punkt przed siebie. Po chwili rezolutnie dodaje:

— Moim zdaniem R a d o n to pierwszorzędna głowa.

Magister Burke, asystent przy katedrze geometrii analitycznej, który przed dwoma tygodniami powrócił z międzynarodowego zjazdu analizy wektorowej w Moskwie rozmawiał w kącie pokoju z doktorem Sawą o Rosji.

Jego wyjazd do ostatniej chwili nie był całkowicie pewny. Udało mu się wszakże uzyskać zaproszenie na zjazd, potem przyszła seria sukcesów: otrzymał bezpłatny paszport zagraniczny i zwolnienie od opłaty za wizę. Był w tym czasie w stanie ustawicznego podniecenia: wyjazd do Rosji, zjazd, nieliczny ze względu na bardzo wąską specjalność, w którym miały wziąć udział największe asy europejskie — osobiste zetknięcie się z ludźmi, których nazwiska były tak sugestywne, jak gdyby byli umarli przynajmniej przed kilkudziesięciu laty.

Odcinek życia, który miał był niebawem nastąpić, był źródłem licznych i intensywnych marzeń. Sprawy niedalekiej przyszłości układały się dokoła kilku ośrodków marzeniowych, o specyficznej barwie wzruszeniowej. Czasem były to migawkowe obrazy: poczucie wyższości, bezkarności, pewności siebie gościa-cudzoziemca wobec wystraszonych tubylców. Eleganckie palto, szerokie w ramionach, zwężające się w biodrach, nowe lśniące półbuciki, getry, miękki pilśniowy kapelusz i reniferowe rękawiczki. Tak ubrany kroczy ulicą, a dokoła rubachy, czapki, nieodprasowane spodnie, powykręcane trzewiki, gołe czerwone ręce... Myśl przylepia się i zatrzymuje, jakby zahamowana w biegu.

Schauten, Lewi-Ciwita, Cartan, Blaschke; będą przyjęcia, wycieczki, bankiety; powolne dystyngowane poruszenia, pięknie skrojone ubranie; spokojne wyczekiwanie, aż rozmówca skończy i powolna niegłośna odpowiedź... Podskórne ciśnienie tego, co ma być europejskością; obszar spraw, które zostają w marzeniu zaakcentowane dla ujawnienia swojej przewagi nad barbarzyńcami i przesuwające się wzdłuż tych akcentów bezimienne lepkie wzruszenie.

Wygłosi referat. Referat zawiera niewątpliwie oryginalne ujęcie niektórych podstawowych spraw. Ten referat staje się ośrodkiem szczególnie intensywnych marzeń. Wygłasza go w myśli, idąc ulicą, leżąc w domu na tapczanie, w najrozmaitszych odmianach. Jest osobliwy urok w przemawianiu marzeniowym do grupy wielkich uczonych, coś co nie jest podnieceniem, ani wzburzeniem, ani podniesieniem na duchu, a co zawiera po trosze z każdego z tych stanów i jeszcze delektowanie się samym procesem i jakby upojenie. Czym? Czy samą obecnością tych wielkości? Czy nawiązywanym z nimi kontaktem? Czy ujawnianiem swego poziomu intelektualnego? A może to po prostu działanie sprzyjających warunków, potęgujących odczucie wygłaszanej treści, znaczenia, które w niej tkwi? Czy też może przeczucie sukcesu?

Najbardziej intensywne marzenia grupowały się dokoła tego czego oczekiwał po powrocie ze zjazdu. Będzie ośrodkiem powszechnej uwagi. Przyglądał się chciwie narzucającym się obrazom, akcja ciągnęła się w myśli powoli i leniwie, cofając się często wstecz: seminarium... profesor Radecki... profesor Klinge... profesor Milewski... Okulicz, Sawa, Dormont, Przybysz. ... Każda postać jest ośrodkiem skupienia marzeniowego, jest ośrodkiem utajonego ataku.

Znajomi, przyjaciele, prywatne zebrania, urządzane specjalnie dla niego, aby mógł wobec liczniejszego grona opowiadać o swoich wrażeniach...

Była pełnia życia w podniecającym oczekiwaniu na to co miało nastąpić. A potem był wyjazd i kroczenie po ulicy i bankiety, i referat, który zyskał ogólne uznanie i spowodował, że jeden z największych asów uważał za stosowne zmienić pewne swoje poglądy; i potem powrót i ośrodek uwagi i prywatne zebrania...

I otóż teraz okazało się, że wzniecone sztuczne światła pogasły; pstrokacizna odświętnych barw zblakła i poszarzała. Zupełnie jak po balu. Ustąpiła radość życia, a na jej miejsce zjawiło się gniotące przeświadczenie, że się nic w gruncie rzeczy nie osiągnęło, nic nie zrobiło; że nie było żadnego wysiłku twórczego, żadnego wyniku naukowego, nic co by mogło się stać ostoją w wewnętrznym poczuciu własnej wartości. Nie było rzetelnego skupienia, ani żadnych znamion talentu. Była uroczystość po której pozostały rozrzucone w nieładzie śmieci i budzący się szary smutny dzień. Tak, to było pewne: pozorami sukcesów, sukcesów z drugiej i trzeciej ręki, można było wprowadzić w błąd innych, ale niepodobna było oszukać samego siebie.

Doktór Sawa, nie dowiedział się niczego o sprawie, która go interesowała, i zniechęcony odszedł. Zbliżył się natomiast ów uszasty student i z pokornym uśmiechem oświadczył, że jak słyszał, pan doktór był niedawno w Rosji, więc czy mógłby prosić ... Burke odpowiada grzecznie, ale urzędowym tonem:

— Przede wszystkim nie jestem doktorem. Poza tym czym mogę Panu służyć, co mianowicie interesuje Pana?

Po chwili jednak rozgadali się. Po jakimś czasie przechodził w pobliżu docent doktór Dormond. Słysząc ożywioną rozmowę zatrzymał się z przyzwyczajenia na chwilę, wyciągnął głowę w stronę rozmawiających. Doleciały go słowa:

— ... w Mostorgach można w zasadzie dostać wszystko to, co jest w Torgsinach...

Dormond ruszył raptownie z miejsca. Gwałtowność poruszenia wyrażała rozczarowanie i zniecierpliwienie, zdawała się akcentować jak dalece zbędne było to jego zatrzymanie się tu.

Pozostał tylko rozpromieniony student, którego sterczące uszy przybrały od nadmiaru wzruszeń czerwono-fioletowy kolor.

Od czasu powrotu ze wsi Radon nie był jeszcze ani razu w Seminarium. Bywał tu zresztą w ogóle rzadko. Wchodząc po schodach miał nieokreślone uczucie oczekiwania na coś; to było jak trema przed wystąpieniem publicznym; serce biło mu mocno i szybko; musiał zatrzymać się na chwilę i przeczekać aż się trochę uspokoi, potem bardzo powoli ruszył naprzód. Był bledszy, niż zwykle. Na twarzy ukazywały się reżyserowane mimo woli uśmiechy; w pewnej chwili pochylił nieznacznie głowę, wysunął naprzód brodę, uniósł plecy jakby się czemuś dziwił i uśmiechając się rozstawił ręce. Przed drzwiami Seminarium zatrzymał się na chwilę i jakby czekał na coś w niepewności i rozterce. Wreszcie wszedł.

W przedpokoju Szczepan, który go nie znał, podniósł się z urzędową miną z krzesła i lekko wyprężony przyjął od niego palto. Przez przedpokój szybko, prawie biegiem przeszedł jakiś mocno zaaferowany pan, wszedł do bocznych drzwi, zderzył się tam z jakimś innym i szybko zawołał:

— Radecki powiedział, że w małej sali to będzie niemożliwe...

Radon przeszedł powoli do pokoju. Było tam sporo ludzi. Parę osób zastanawiało się nad czymś przy tablicy; przy długim stole stali i siedzieli, pojedyńczo i grupami, nieznani mu ludzie; ktoś zadzierając głowę stał przed szafą i oglądał przez oszklone drzwi stojące na półkach książki.

Ogarnęło go nieokreślone przykre uczucie. Zauważył doktora Sawę, który gorąco perswadował coś jakiemuś starszemu panu. Krótkowzroczny Sawa, który się właśnie obejrzał, popatrzył na niego uważnie, widocznie nie poznając go, potem z pośpiechem i z odcieniem zniecierpliwienia szybko przywitał się i odwrócił się z powrotem ku starszemu panu. Radon postał chwilę, jakby nie mógł ruszyć z miejsca, potem ostrożnie odsunął się i wcisnął się w kąt pomiędzy biurkiem i szafą. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Rozglądał się po sali. Teraz kiedy siedział bezpiecznie w kącie, przykre uczucie jakby popełnionej okropnej gaffy, które powodowało wewnętrzne zahamowanie, ustępowało powoli; ogarnęła go głęboka pogarda dla tych ludzi. Budząca się pogarda stanowiła wyzwolenie ze stanu upadku i poniżenia, jakie przed chwilą przeżył. I jak zwykle, wyzwalanie się ze stanu depresji budziło radość życia. W duszy wznosiła się szeroka fala wzruszenia: słodycz minionej goryczy, pycha i upojenie. Było w nim niezwykle ostre i jasne wyczucie śladów, wzdłuż których posuwała się myśl, wyczucie ich zadziwiających, wytwornie wyrafinowanych wygięć; myśl zdawała się być przy tym wysunięta niezwykle daleko, gdzieś, gdzie nikt jeszcze nie był, gdzie była jasność, świeżość i chłód. Przecież nie poniżyłby się nigdy do rozważania bylejakich spraw; przecież to, co badał, to były rzeczy ważne,

najważniejsze, najbardziej istotne; stawał oko w oko z czymś, co odczuwał jako rzeczywistość, co było niesłychanie zdradliwe, wymykające się, grząskie, nieuchwytne, a przede wszystkim trudne, piekielnie trudne.

Jasne było, że ci ludzie tutaj grzebali się w płytkich bagienkach nikomu niepotrzebnych spraw: wałkowanie jałowych konsekwencji równie jałowych twierdzeń; rozkawałkowywanie otrzymanych przez kogo innego wyników do nieskończoności na wszelkie możliwe przypadki i przypadeczki; nudna zabawa w systematyczny wykład; przesadne precyzowanie wywodów, to jest zohydzanie rzeczy pięknych, polegające na eksplicytowaniu wszystkich bez wyjątku przejść w rozumowaniu... Z zapałem godnym lepszej sprawy, stwarzali pozory, że uprawiają naukę. Ale taka pośledniego gatunku gromadna przeciętność nie znosi niczego co ponad nią wyrasta, będzie usiłowała skrycie, po kryjomu zgnębić, zohydzić każde żywe poruszenie twórczej myśli; wszystko co wybiega wzwyż — ściągnie do swego poziomu; będzie nieprzyjazna i wroga; będzie usiłowała złamać wszelki opór; zakracze! Zarówno ci rozgorączkowani i podnieceni, jak ci co chodzą z nadętymi minami, entuzjaści, sceptycy i snobi — to ludzie pozbawieni odwagi, samodzielności myślenia i niezdolni do twórczego wysiłku; to marna pasożytująca na naskórku wiedzy narośl...

Nie było w nim tych słów, ani takich myśli. Ale właśnie tak zapewne zintelektualizowałoby się błądzące w nim, wahające się pomiędzy upojeniem, a zgryźliwością, nieziszczone pragnienie odwetu. Przyszedł tu, wyciągając ku ludziom ramiona — tak to teraz wyglądalo w jego interpretacji myślowej, a interpretacja ta nabierała cech prawdziwości dzięki unoszącemu się dokoła, połyskującemu egzaltacją wzruszeniu. Ale w głębszej warstwie odczuwania, te wyciągnięte ramiona były jedynie chęcią pławienia się we własnej wielkości, pragnieniem wywyższenia się, pognębienia innych. A poryw wzruszeniowy, którego doznał, — a może zdawało mu się tylko że go doznał, — był po prostu sprytnym podstępem czegoś w nim, co zmierzało krętą drogą do wywołania objawów uznania i uwielbienia.

Ludzie jednak zajęci sobą, nie zauważyli wyciągniętych ku sobie ramion, odwracali się, albo patrzyli w niego jak w puste miejsce.

Do biurka, które stało obok, podszedł doktór Przybysz. Przywitał się sucho i zaraz potem zaczął coś skrzętnie notować na małym skrawku papieru. Zanotował coś, zajrzał do registratora z rachunkami, potem dłuższą chwilę zastanawiał się patrząc w papierek, spojrzał w okno, znów coś zanotował i dodał. To trwało dosyć długo. Wreszcie skończył i zwrócił się do Radona:

— Przeglądałem pańską ostatnią pracę.

Radon poruszony odpowiada:

— Tak...

— Są tam dwa istotne pomysły. Właściwie, będąc w posiadaniu tych dwóch pomysłów uzyskanie wyniku nie przedstawia już większych trudności. Jeden pomysł — to potraktowanie współczynników równania jako tensorów i przedstawienie równania w postaci tensorowej — to już w swoim czasie w nieco innej formie zrobił Hilbert. Drugi kapitalny pomysł to spostrzeżenie, że parametrysa równania znika tożsamościowo na całej powierzchni stożka świetlnego. Tylko że Pan nie wiadomo dlaczego przypisuje temu spostrzeżeniu niezwykłą wagę i uważa je

za odkrycie, gdy tymczasem to wynika z zupełnie prostego przekształcenia całki Geen'a.

— Jak to?

— No, proszę...

Przybysz przysuwa się do Radona i na odwrotnej stronie jakiejś deklaracji szybko wypisuje szereg wzorów i równań.

— To przecież zupełnie elementarne przekształcenie!

Patrzy uważnie na Radona, dostrzega zmieszanie na jego pobladłej twarzy i jakby grymas, który prawdopodobnie oznaczać miał uśmiech. Oczy Przybysza wyrażają zaciekawienie, a w kącikach ust przyczaił się ledwo dostrzegalny uśmieszek.

Radon widzi, że jego wynik otrzymuje się za pomocą nieskomplikowanego przekształcenia na drodze czysto formalnej. Na chwilę ogarnia go zamęt i przerażenie. W ustach sucho, musi przełknąć ślinę; na twarzy zastygł ów bezsensowny uśmiech — może ten uśmiech ma stworzyć pozory, że sytuacja nie jest tak bardzo poważna. Ale jednocześnie coś w nim burzy się i opiera. Nie, jego straszliwy wysiłek nie był czczy i bezpłodny; to nie jest sprawa takiego czy innego przekształcenia, tu chodziło o znalezienie przyczyny pewnych zjawisk, przyczyny ukrytej niezmiernie głęboko; tu trzeba było zmienić w sposób istotny punkt widzenia, trzeba było w i d z i e ć to co ukryte było dotąd w gąszczu analitycznym. Zresztą tak czy inaczej otrzymał przecież wynik obiektywnie potężny. Ale prosty wywód leży na stole i zdaje się stawiać pod znakiem zapytania doniosłość istotnego fragmentu jego twórczych wysiłków. Ogarnia go znów uczucie zapadania się, dezorientacji i rozpaczy. Podnosi głowę i spostrzega nieruchome badawcze spojrzenie Przybysza i zastygły uśmieszek zadowolenia na jego twarzy. Ogarnia go nienawiść do tego człowieka i to uczucie nienawiści jest jak wyzwolenie...

Do sali wszedł profesor Radecki. Zauważył z daleka Radona i ruszył szybko ku niemu. Gdy był już w odległości kilku kroków wyciągnął ręce i zawołał:

— Witam Pana! Kiedyż Pan przyjechał?

Potem ścisnął mu mocno rękę; dotknął dłońmi jego ramion, a ten gest był niezwykle przyjazny, objął go wpół i nie zwracając zupełnie uwagi na doktora Przybysza pociągnął za sobą.

Doktór Przybysz patrzył za nimi. Opierał się palcem wskazującym i kciukiem o blat stołu i był nieco nad stołem pochylony. Z twarzy jego zniknął tryumfujący uśmieszek; była teraz zimna i zła. Czuł się, jak ktoś, kto pozbył się dobrowolnie akcji i czyta w sprawozdaniu giełdowym, że akcje te gwałtownie skoczyły w górę.



JAN ANTONI WILDER

ZIEMIE ODZYSKANE

Polaka przyjeżdżającego tu po raz pierwszy po wojnie z odległego Kraju (Polska była tu od dawna uważana za kraj nader odległy) ogarnia niejednokrotnie zdumienie. Największe bodaj wrażenie robi nasza emigracja. Nie mówię o tym, że u nas wyobrażają sobie niemal wszyscy, iż ci, których losy rzuciły po 1939 r. na Zachód, to ludzie automatycznie conajmniej zamożni. Nie mówię o tym, że w Kraju naogół nie zdajemy sobie sprawy z tych koteryj i koteryjek, z tych intryg i intryżek, które są zawsze jednym z nieodzownych przekleństw każdej emigracji.

Chodzi mi tu o coś całkiem innego, o coś znacznie ważniejszego. Mianowicie o to jak bardzo pewne grupy emigracyjne oderwały się od krajowej myśli politycznej. W Polsce nigdy nie było jednomyślności obejmującej całokształt zagadnień na szczeblu państwowym. Rzecz prosta nie może jej być i dzisiaj, w okresie tak przełomowym, gdy tyle problemów jest jeszcze w stanie płynnym.

Jednak jak zawsze, tak i dzisiaj są pewne dziedziny co do których różnic zdań w Polsce nie ma. Jednym z takich zagadnień, co do których bez mała wszyscy, bez względu na zapatrywania polityczne, czy społeczne, taką czy inną orientację są jednomyślni — to konieczność uzyskania ostatecznego zatwierdzenia granicy biegnącej zgrubsza po linii Odry-Nisy Łużyckiej[1], to konieczność jak najszybszego opanowania i wchłonięcia Ziem Odzyskanych.

Oczywiście są różnice zdań co do tego, jaka jest najwłaściwsza polityka na tych terenach, jak powinno wyglądać opanowywanie i wchłanianie owych Ziem. — Znajdują one swój wyraz w ożywionych dyskusjach toczących się chociażby na łamach prasy, na posiedzeniach Rady Naukowej dla Zagadnień Ziem Odzyskanych, w skład której wchodzą najwybitniejsi uczeni w Kraju, mogący w tych sprawach mieć coś do powiedzenia. Ale niemal nikomu nie wpada na myśl, byśmy mieli choćby z najmniejszej części z tych terenów rezygnować, byśmy mogli sobie z nimi „nie dać rady". Odgłosom docierającym stąd, że pewne ugrupowania na emigracji ustosunkowują się negatywnie do granicy Odra-Nisa Łużycka, mało kto daje wiarę. Pamiętam dyskusje toczone w zrujnowanych mieszkaniach Warszawy, gdzie przez sufit można było firmament obserwować, w czasie których nie mogliśmy sobie wyobrazić, by wśród emigracji mogli rzeczywiście znajdować się ludzie do tego stopnia zapoznający naszą rację stanu tak przecież jasną i oczywistą dla każdego w Kraju.

Przecież to nie jest prawdą, że tylko rząd „podbechtany przez Rosję", wyrażając się stylem b. premiera Churchilla, domagał się tej granicy w Poczdamie, lecz takim było i jest stanowisko społeczeństwa w Kraju. Wiadomo, że odpowiednia komórka Delegatury, przygotowująca się do obięcia Ziem Odzyskanych, opracowując w ciężkich i niebezpiecznych latach roboty konspiracyjnej wszelkie związane z tym zagadnieniem problemy, sięgała w swych planach dalej na zachód. Linia Odry-Nisy Łużyckiej to raczej skurczenie się naszych aspiracji podyktowane istniejącymi warunkami.

Watpię, czy udało by się znaleźć w Kraju kogoś, zastanawiającego się nad tymi problemami, kto by nie rozumiał jakie Ziemie

[1] Z pewnymi odchyleniami na zachód w okolicy Szczecina.

Odzyskane dają nam potencjalne możliwości. Że po dźwignięciu ich z gruzów, w jakich nam je przekazała zawierucha wojenna umożliwią nam one wreszcie przekształcenie się w kraj o właściwej równowadze rolnictwa i przemysłu i to przemysłu typu zachodnio-europejskiego, umożliwiającego pomyślne rozwiązanie bolesnego od tylu lat problemu przeludnienia wsi. I to daje możliwości zajęcia zupełnie innego stanowiska w rodzinie państw europejskich niż mieliśmy dotychczas. Tu nie chodzi tylko o przywracanie praw historycznych, mających niewątpliwie duże znaczenie emocjonalne. Istotą zagadnienia jest stworzenie podstaw, na których byłyby możliwości budowania.

Również panuje zrozumienie, że granica Odra-Nisa Łużycka nie jest czymś przypadkowym, czy jakąś sprawą prestiżową, lecz ma głęboki sens nie tylko polityczny, ale i gospodarczy. Niemcy będą ubolewać w równym stopniu, gdy znajdzie się poza ich granicami Gdańsk, czy Poznań nawet, jak Szczecin, Wrocław, czy Lignica. Trudno się łudzić, by projektowana „re-edukacja" społeczeństwa niemieckiego (z możliwościami realizacji tej koncepcji nawet sami jej autorzy wiążą obecnie coraz mniejsze nadzieje) sprawiła cud. Było by conajmniej naiwnością, gdybyśmy, znając niestety od tylu pokoleń tak dokładnie psychikę niemiecką, my którzy skazani jesteśmy od wieków na oglądanie wschodniego oblicza Niemiec tak różnego od tego, które jest ukazywane Zachodowi, liczyli na to, że nagle, wśród obecnie już „dobrych" Teutonów mniej szans będzie miało rozpętanie propagandy na temat skrzywdzenia, tym, że granica nie biegnie za Łodzią, czy raczej „staro-germańskim Litzmannstadtem", niż że biegnie na Odrze i Nisie Łużyckiej. Gdy będą po temu możliwości — zacznie się równie skuteczne wmawianie „zdemokratyzowanym" Niemcom żywotnej konieczności ponownego włączenia do takiej, czy innej Rzeszy „starodawnego portu Gotów", jak i Szczecina.

Różnica tylko jest ta, i to różnica naprawdę rozumiana w Polsce przez każdego, że granica na Odrze-Nisie Łużyckiej daje nam możliwości stania się potęgą gospodarczą, a tym samym państwem, z którym liczyć się trzeba. Możliwości tych napewno nie dadzą ani same piaski Okręgu Mazurskiego z wytrzebionymi lasami, ani nawet Śląsk Opolski, którego przemysł znajdowałby się znów nad samą granicą, zmuszając znów do tworzenia gospodarczo nieuzasadnionego, strategicznie mało skutecznego C.O.P.'u.

A ci wszyscy, którzy, ulegając sugestiom niektórych tutejszych mężów stanu, mają wątpliwości, czy aby „damy sobie radę" z Ziemiami Odzyskanymi możeby zechcieli pofatygować się i naocznie przekonać się jak wygląda praca nad odbudową i wchłanianiem tych terenów przez najbardziej na świecie zrujnowane wojną społeczeństwo. Może widok tego entuzjazmu i zapału, tej niesłychanie żmudnej i wytrwałej pracy w najtrudniejszych jak można sobie wyobrazić warunkach dałby im temat do zastanowienia się. Zobaczyliby ten zapał graniczący z samozaparciem nie tylko u ludzi młodych, mających po raz pierwszy pole do wyżycia się. Zobaczyliby go i u ludzi starszych, a nawet starych. Zobaczyliby go u ludzi, którzy zdawałoby się, że mają prawo czuć się zgorzkniałymi i zniechęconymi: u zrujnowanych dawnych przemysłowców, którym po dziesiątkach lat przyzwyczajenia do własnych limuzyn, służby, komfortu pozostało jedno ubranie i obiad w stołówce, u byłych ziemian, którym z setek włók zostało niewiele po za tlómoczkiem przydźwiganym

gdzieś pod Legnicę, czy inny Koszalin lub Gorzów, u oficerów zawodowych, których jeszcze nie tak dawno przed rozgoryczeniem mogły uratować jedynie szlify generalskie.

W kołach naukowych przeprowadza się studia nad wszystkimi problemami związanymi z zagadnieniem Ziem Odzyskanych z pełnym poczuciem odpowiedzialności. A czym jest, a zwłaszcza była jeszcze bardzo niedawno, praca naukowa w Polsce, w tych ciężkich warunkach materialnych, przy zniszczeniu jednych bibliotek, zdekompletowaniu innych, gdy nieraz problemem było zdobycie stołu i krzesła, na którym by można było zasiąść do pisania — o tym wiadomo tylko w Kraju. A mimo to zarówno Instytut Bałtycki, jak i Instytut Śląski, które nie cały rok temu reaktywowały oficjalnie swą działalność, jak i powstały pod sam koniec wojny Instytut Zachodni, mogą się już poszczycić zdumiewającym w tych warunkach dorobkiem. Referaty i dyskusje odbywajace się co 3 miesiące na zebraniach plenarnych i komisjach wspomnianej poprzednio Rady Naukowej dla Zagadnień Ziem Odzyskanych wskazują, że wszystkie pozostałe przy życiu pokolenia uczonych polskich uznają, że owe Zagadnienia trzeba pisać przez wielkie Z, że nie wolno nam ich zaniedbać.

A o tym jaki jest stosunek „gryzipiórków" urzędniczych do tych problemów niech poświadczy chociażby przykład Biura Ziem Zachodnich[2], w którym przez dłuższy czas urzędnicy siadali na krzesłach za biurkami na zmianę, w zależności od tego, jak pilnym było to, co mieli wlaśnie do napisania, gdyż nie można było w Warszawie zdobyć dostatecznej ilości krzeseł i biurek. Kierownik tej instytucji musiał w pewnej chwili wydać urzędnikom formalny zakaz pracowania w biurze po za godzinami urzędowymi (za godziny nadliczbowe nie płacono). Nie mógł jednak zakazać zabierania pracy do „domu" (tego „domu" w obecnym, warszawskim tego słowa znaczeniu). Urzędnicy świetnie wiedzieli, że ich przesiadywanie po nocy przy świeczkach w napół zrujnowanych, przeludnionych „chałupach" dla przyśpieszenia opracowania tego, czy innego memoriału nie wpłynie ani na polepszenie ich warunków materialnych, ani na żaden awans — wiedzieli tylko, że praca jest pilna z ogólnopaństwowego punktu widzenia, z punktu widzenia polskiej racji stanu.

I dla tego w Kraju wszyscy, zdając sobie sprawę z tego podejścia społeczeństwa, widząc na terenie Ziem Odzyskanych dymy unoszące się z coraz to nowych kominów fabrycznych, widząc wsie, w których jeszcze tak nie dawno grasowały tylko bandy maruderów i zwykłych rabusiów, zaczynające tętnić życiem, życiem polskich osadników, których nie przerażają często zdemolowane izby w chałupach, często niemal zupełny brak inwentarza martwego i żywego — bynajmniej nie kłopoczą się pytaniem „czy my sobie damy radę". To pytanie wogóle się nie nasuwa.

Istotą politycznego znaczenia przesunięcia naszej granicy zachodniej do Odry i Nisy Łużyckiej jest zmiana stosunku sił między Polska i Niemcami. Musi to bowiem z konieczności spowodować, poza zwiększeniem naszych możliwości potencjal-

---

[2] Biuro Ziem Zachodnich utworzone w lutym ub. r. przy Prezydium Rady Ministrów nastepnie przeniesione do Ministerstwa Administracji Publicznej, w grudniu ub. r. weszło w skład utworzonego w tym czasie Ministerstwa Ziem Odzyskanych. Miało ono na celu przeprowadzanie na użytek władz centralnych studiów nad zagospodarowywaniem Ziem Odzyskanych.

nych, o czym będzie mowa niżej — wydatne osłabienie Prus i ograniczenie ich ciężaru gatunkowego na terenie Niemiec. Ma to dla nas o tyle doniosłe znaczenie, że właśnie Prusy, zachowując niewątpliwie i po zjednoczeniu Niemiec swą odrębność, stanowią niezmiennie od wieków ośrodek promieniujący zawziętą, nieprzejednaną, bojową antypolskością.

Oczywiście istnieje i strategiczna strona problemu. Mimo bomby atomowej, pocisków rakietowych, rozwoju lotnictwa — przeszło czterokrotne skrócenie granicy i wydatne jej oddalenie od szeregu ważnych ośrodków przemysłowych nie jest tak zupełnie pozbawione znaczenia. Społeczna strona zagadnienia wymagałaby specjalnej rozprawy, nie artykułu. Tu poprzestanę jedynie na zwróceniu uwagi na niektóre fragmenty o znaczeniu gospodarczym.

Ziemie Odzyskane zajmują obszar 104.680 km^2, zrujnowany wojną. Grunty orne zajmują tam ok. 5 milionów ha, sady i ogrody ok. 111 tysięcy ha, łąki i pastwiska ok. 1, 3 miliona ha, jeziora i stawy ok. 213 tysięcy ha. W roku 1939 zamieszkiwało ten teren ok. 8.500.000 osób, a dziś[3] wśród ruin i zgliszcz jest tam 5.012.410 mieszkańców, z których blisko 2.000.000 to Niemcy skazani na wyjazd do Rzeszy, by na ich miejsce mogli przybyć polscy osadnicy i wziąć udział w odbudowie. W południowych, zwłaszcza południowo-wschodnich częściach Ziem Odzyskanych istniał, dziś w ogromnej mierze zniszczony, przemysł.

Uwagę badającego problemy tego kraju zwraca cecha charakterystyczna, polegająca na jego ścisłym związaniu w przeszłości w ciągu setek lat pod względem gospodarczym z Rzecząpospolitą Polską, nawet po zerwaniu więzów politycznych łączących go z dawną macierzą. Do drugiej połowy XVIII wieku, ściślej mówiąc do pierwszego rozbioru Polski, obowiązywały specjalne umowy gospodarcze wiążące te prowincje z Rzecząpospolitą, a nie dotyczące pozostałych obszarów państw, w skład których one wchodziły. Dla przykładu wymienię Konwencję Trzebiszewską z dnia 22.1.1618 roku dotyczącą w zasadzie żeglugi na Warcie i Odrze, a mówiącą także o stosunkach gospodarczych z Ziemią Lubuską i częścią Pomorza Zachodniego, czy Konwencję Grodzieńską z dnia 19.IV.1727 roku, regulującą stosunki handlowe między Polską i Śląskiem. Jako oddźwięk tych związków gospodarczych należy traktować postanowienie Kongresu Wiedeńskiego z maja 1815 roku, w myśl którego do Prus Wschodnich miały się odnosić przepisy, traktujące obszary wchodzące w skład dawnej Rzeczypospolitej jako jedną całość gospodarczą[4].

Nie dość na tym. Z chwilą zerwania więzów gospodarczych łączących teren Ziem Odzyskanych z resztą Polski, dają się obserwować stałe trudności ekonomiczne, które w różnych okresach w sposób mniej, lub bardziej widoczny gnębiły te wschodnie prowincje pruskie. Powszechnie są znane dzieje subsydiowania Prus Wschodnich, które się datuje od początku XIX wieku. Podobna akcja w tej czy innej formie była prowadzona i na pozostałym obszarze Ziem Odzyskanych. Faktem jest, że poprzez wiek XIX, aż do wybuchu ostatniej wojny, ziemie położone na wschód od Odry i Nisy Łużyckiej wykazywały najniższy dochód

[3] Według spisu ludności z dn. 14.11.1946 roku. W sierpniu 1946 ilość ludności polskiej wynosiła tam przeszło 4,000,000, zaś niemieckiej ok. 900,000.

[4] Po kilku latach zaledwie Prusy przestały respektować to postanowienie, pod którym położyły własny podpis.

społeczny w Niemczech, miejscami nie sięgając nawet 1/3 dochodu przeciętnego dla Rzeszy, najniższe w całym państwie wpływy z podatku dochodowego na głowę ludności. Rzecz ciekawa, dotyczy to nawet i wielkich ośrodków przemysłowych na terenie Ziem Odzyskanych. Naprzykład w takim Wrocławiu w roku 1928 przeciętny dochód na jednostkę zarobkującą był o blisko 20% niższy od przeciętnej dla wielkich miast Rzeszy, zaś w Zabrzu był on w tym samym roku o 30% niższy. Jeżelibyśmy zainteresowali się dawnymi wielkimi portami niemieckimi — to okazało by się, że w Szczecinie przeciętny dochód był o 8% niższy od ogólnej przeciętnej dla miast portowych. Nic więc dziwnego, że na tych właśnie terenach obowiązywały specjalne tajne okólniki, w myśl których administracja miejscowa była obowiązana udaremniać, przynajmniej utrudniać emigrację ludności na zachód.

Ten stan rzeczy trwający niezmiennie tak długi okres czasu na ziemiach niewątpliwie z natury bogatych, kryjących w sobie olbrzymie możliwości, na których wykorzystanie Berlin nie szczędził pieniędzy, nie mógł być skutkiem tylko jakichś niefortunnych zbiegów okoliczności. Musiała być jakaś istotna przyczyna tego, że dawnej, stosunkowo dużej zamożności nie można było przywrócić od chwili udaremnienia ścisłej współpracy gospodarczej z Polska. Tajemnica wyjaśnia się po przeprowadzeniu analizy polityki gospodarczej prowadzonej przez Prusy, a później przez zjednoczone Niemcy na tych terenach. Okazuje się bowiem, że stale dominującą rolę odgrywał tu motyw polityczny, zaś postulaty ekonomiczne, które zdawało by się powinny być decydujące, traktowano po macoszemu. Ujemnych skutków tego rodzaju polityki nie były w stanie odrobić zastrzyki w postaci subwencji, specjalnych kredytów, czy ulg podatkowych.

Druga sprawa, zwracająca uwagę przy baczniejszym spojrzeniu na Ziemie Odzyskane, to wspomniane przed chwilą możliwości gospodarcze. Nie mam tu na myśli wyłącznie bogactw mineralnych, o których będzie mowa niżej. Chodzi, ogólnie rzecz biorąc, o to, że pewne obszary kryją w sobie pewne możliwości, których inne nie posiadają.

To, że naprzykład produkcja wyrobów włókienniczych uczyniła ze Śląska jedną z najbogatszych prowincji Europy środkowej, o którą uważano, że warto wojny prowadzić jeszcze na długo zanim odkryto i eksploatowano tamtejsze najważniejsze bogactwa mineralne, — nie było wynikiem jakichś niebywałych uzdolnień Ślązaków do tkactwa. Było to przede wszystkim następstwem tego, że dzięki odpowiedniej glebie i klimatowi, tam udawała się uprawa lnu i istniały korzystne, naturalne warunki komunikacyjne. Późniejszy wydatny rozwój przemysłu bawełnianego wyrastał niejako z poprzednio rozbudowanego przemysłu lniarskiego i bynajmniej nie znalazł się tam przypadkowo, jak naprzykład miało to miejsce w Łodzi.

Rozwój Szczecina umożliwiało istnienie arterii wodnej łączącej go ze Śląskiem, a w dawniejszych czasach łączącej go również poprzez Wartę i Noteć z ziemiami Polski Środkowej. Nawiasowo należy w tym miejscu zaznaczyć, że dorzecze Odry jest wybitnie asymetryczne. Prawobrzeżne (wschodnie) obejmuje obszar przeszło 83.000 km^2, podczas gdy lewobrzeżne (zachodnie) 35.000 km^2, z czego 31.000 km^2 przypada na teren znajdujący się między Nisą Łużycką i Odrą. Innymi słowy leżące na wschód od

granicy Odra-Nisa Łużycka dorzecze Odry obejmuje powierzchnię ok. 114.500 km², zaś na zachód od niej ok. 4.500 km².[5]

Poprzestając na tych dwuch przykładach z pośród wielu, przejdziemy do kapitalniejszych możliwości jakie dają bogactwa mineralne.

Świadomie tu mówię o możliwościach jakie daje produkcja górnicza Ziem Odzyskanych, a nie o jej wartości (oceniano ją na 2-3 miliardów złotych przedwojennych). Znaczenie gospodarcze produkcji górniczej polega na możliwościach potencjalnych, które stwarza, a nie na jej wartości bezwzględnej, która w skali światowej jest niską nie tylko w porównaniu z globalną wartością produkcji przemysłowej, ale i rolniczej[6]. To że obrót przedsiębiorstw przemysłowych, rzemieślniczych i handlowych na Ziemiach Odzyskanych sięgał przed wojną (rok 1935) 17.827.000.000 złotych przedwojennych, zawdzięczały one niewątpliwie bogactwom naturalnym i warunkom komunikacyjnym. Jak mizernie przy tej cyfrze wyglądają gospodarstwa rolne, których wartość w tym samym czasie obliczano według stosunkowo wysokich cen niemieckich na ok. 12.620.000.000 złotych przedwojennych. Ale też z rolnictwa żyło tam nieco ponad 1/3 mieszkańców, podczas gdy w Polsce przedwojennej blisko 2/3 (64,8%).

Z pośród bogactw naturalnych Ziem Odzyskanych najwięcej mówi się o węglu. I słusznie. Przyjmując za podstawę obliczeń rok 1937, okazuje się, że na Śląsku Opolskim wydobyto blisko 64,4% produkcji polskiej, zaś na Śląsku Dolnym przeszło 14,5%. Razem wydobycie we wszystkich zagłębiach leżących obecnie w granicach Państwa Polskiego wyniosło 64.650.000 ton. Kopalnie zostały przejęte w roku ubiegłym naogół w stanie złym. Poza zatopieniem części, poniszczonymi urządzeniami w szeregu wypadkach, wszędzie dawały się dotkliwie odczuwać skutki rabunkowej eksploatacji w czasie wojny chociażby w postaci bardzo licznych pożarów podziemnych, które udało się wszystkie zagasić, względnie zlokalizować dopiero w listopadzie ub.r. Do tego dochodziły zniszczenia w elektrowniach. Pomimo tego, pomimo trudności w zebraniu personelu i uruchomieniu na nowo produkcji, w ciągu tych miesięcy roku 1945, w czasie których wszystkie owe kopalnie znajdowały się już w rękach polskich[7] wydobyto blisko 33% produkcji roku 1937 (21.208.000 ton). Produkcja wzrasta z miesiąca na miesiąc. W grudniu ub.r. sięgała 54%, zaś w lutym 1946 roku już 66% przeciętnej miesięcznej roku 1937. Na jesieni roku ub. odkryto nową 3 metrowej grubości żyłę węgla na Śląsku Dolnym[8], której eksploatację już rozpoczęto. Zgodnie z obecnie realizowanym programem w roku bieżącym wydobycie winno osiągnąć 46.000.000 ton (przeszło 71% wydobycia 1937 roku), zaś po przewidzianej rozbudowie górnictwa węglowego pod koniec roku 1948 zdolność produkcyjna w stosunku rocznym ma dojść do 100.000.000 ton. O tym jak nie tylko realnie, ale i ostrożnie są opracowywane plany rozwoju produkcji świadczy chociażby to, że faktyczne wydobycie mie-

[5] Por. Zierhoffer, A. Zagadnienie zachodniej granicy Polski. Przegląd Zachodni Nr. 2, 1946.

[6] Nawet w przedwojennej Wielkiej Brytanii, gdzie produkcja rolnicza odgrywała stosunkowo tak małą rolę, wartość jej była znacznie wyższa od wartości produkcji górniczej.

[7] Należy zaznaczyć, że kopalnie na Śląsku Opolskim zostały przejęte w połowie kwietnia, zaś na Śląsku Dolnym w końcu czerwca 1945 roku.

[8] Kopalnia Julia-Szczęść Boże pod Wałbrzychem.

sięczne przekracza przeważnie planowane. Zrealizowanie programu węglowego da nam możliwość rozbudowy przemysłu, między innymi przemysłu chemicznego[9] na wielką skalę. Pamiętajmy, że przeszło 16% wydobycia Ziem Odzyskanych (1937 rok 4.855.000 ton) stanowił wysoko wartościowy węgiel koksujący. A przed wojną węgiel koksujący musieliśmy importować.

Nie bez znaczenia są również dość znaczne pokłady węgla brunatnego na Śląsku Dolnym i Ziemi Lubuskiej. Dzięki łatwej i stosunkowo niekosztownej eksploatacji zapewniały one, mimo niskiej kaloryczności tanią energię elektryczną na dość znacznych obszarach. Pamiętajmy przy tym, że w czasie wojny duży procent wydobywanego w Niemczech węgla brunatnego był zużywany przy produkcji benzyny syntetycznej[10], poza tym może on stanowić surowiec wyjściowy dla szeregu innych gałęzi przemysłu chemicznego.

A teraz weźmy z kolei np. złoża miedzi. Według obliczeń dokonanych przed wojną, na Dolnym Śląsku (powiat kamieniogórski) znajduje się ok. 2.000.000 ton rudy miedzianej zawierającej przeciętnie 17% czystego metalu. Wszystkie kopalnie, w chwili przejmowania ich przez władze polskie były zatopione, urządzenia na powierzchni zniszczone. Obecnie pracuje się nad ich odwodnieniem i odbudową. Z chwilą uruchomienia tych kopalń przewidywana jest produkcja w wysokości ok. 25.000 ton rocznie. Nie bez znaczenia dla naszej gospodarki są również złoża rud cynkowych i ołowianych, których roczne wydobycie sięgało w czasie wojny 1.000.000 ton. Przeciętnie te rudy zawierają ok. 11% cynku i ok. 2,5% ołowiu (są jednak kopalnie, których rudy zawierają i 74% ołowiu). Na tych właśnie surowcach była oparta produkcja m.in. ważnych bardzo metali łożyskowych (np.t.zw. „Torpedo") we Wrocławiu, nie mówiąc już o bieli cynkowej (w Oławie), tlenku cynku (we Wrocławiu) itd. Złoża rudy niklowej znajdują się w powiecie ząbkowickim na Dolnym Śląsku, gdzie produkcja rudy zawierającej przeciętnie ok. 10% metalu w czasie wojny osiągała 70.000 ton rocznie. Warto również wspomnieć o dochodzącej w czasie wojny do 40.000 ton produkcji niezbyt bogatej wprawdzie, ale istniejącej na Śląsku rudy żelaznej. Nie zostały tu wymienione występujące w mniejszych ilościach złoża arsenu, w którego rudzie śląskiej znajduje się nieco złota[11]. Kopalnia znajduje się w Równem Śląskim (powiat kłodzki). Ostatnio za czasów niemieckich (już przed wojną) była ona eksploatowana bez racjonalnych inwestycji, bez prowadzenia badań. Rudy stawały się coraz uboższe, pod koniec zawierały nie więcej jak 5% arsenu. Wydobycie dzienne wynosiło 100 ton. Po przejęciu tej kopalni przez władze polskie, po doprowadzeniu jej do stanu umożliwiającego eksploatację, dało się ją uruchomić dopiero dnia 15.XI.1945 roku. Obecnie wydobycie wynosi 120 ton dziennie. Dzięki prowadzonym badaniom geologicznym i wierceniom odkryto nowe żyły rudy arsenonośnej zawierające do 15% arsenu. Takich przykładów na terenie Ziem Odzyskanych znalazło by się już obecnie

---

[9] Z ważniejszych wytwórni przemysłu chemicznego istniejących dawniej na Ziemiach Odzyskanych należy wymienić 4 fabryki benzyny syntetycznej (łączna zdolność produkcji 1,360,000 ton rocznie) 6 zakładów produkujących bezwodnik kwasu siarkowego (w. r. 1937 łączna produkcja 60,800 ton), 6 zakładów wytwarzało superfosfaty, 2 karbid (w. r. 1936 – 35,000 ton) i td. Znaczna część tych zakładów została nam przekazana w stanie nie nadającym się do uruchomienia.

[10] T. zw. proces Bergiusa.

[11] W 1 tonie rudy arsenu 2-3 gramów złota.

więcej. Wśród bogactw mineralnych nie został tu wymieniony grafit, występujący w Zakrzewiu (powiat oławski), ani dopiero w czasie wojny odkryte i eksploatowane złoża chromu. Nie wzięto również pod uwagę kwarcytów, występujących w pierwszym rzędzie w powiecie strzelińskim na Dolnym Śląsku, uchodzących za nie mające równych jeżeli chodzi o niewrażliwość na zmiany temperatury[12].

Do istotnych fragmentów gospodarczej charakterystyki Ziem Odzyskanych należy zaliczyć sprawę produkcji energii elektrycznej na tych terenach. Wynosiła ona tam ok. 2.600 milionów kWh czyli ok. 305 kWh na jednego mieszkańca. Cyfry te staną się zrozumiałe gdy porównamy je z naszą produkcją przedwojenną wynoszącą 3.977 milionów kWh, czyli ok. 113 kWh na jednego mieszkańca. Elektryfikację Ziem Odzyskanych niezmiernie ułatwiały warunki naturalne. Zwróćmy naprzykład uwagę na 10 wielkich elektrowni o zdolności produkcyjnej powyżej 50 MW. Jedna z nich była oparta na węglu brunatnym (z węgla brunatnego korzystały przeważnie dość liczne mniejsze elektrownie), zaś reszta na węglu kamiennym. Wystarczy rzucić okiem na mapę, by się przekonać, że wszystkie one znajdowały się w ośrodkach przemysłu węglowego, lub nad brzegiem Odry, tej arterii komunikacyjnej jakby specjalnie stworzonej przez naturę dla węgla śląskiego. Analogiczne spostrzeżenia nasuwa produkcja gazu świetlnego. Na terenie Ziem Odzyskanych znajdowało się w roku 1936 15 gazowni produkujących ponad 2.800.000 m^3 gazu, wytwarzając razem blisko 145 milionów m^3 rocznie. Z tego 83% produkowano w bezpośrednim zasięgu kopalń węgla, lub nad drogą wodną zapewniającą tani transport z kopalń śląskich.

Bogactwa naturalne nie tylko ułatwiły elektryfikację kraju, czy produkcję gazu świetlnego na znaczną skalę, ale umożliwiały wogóle rozbudowę przemysłu na terenie Ziem Odzyskanych. Dzięki temu właśnie, mimo wspomnianej wyżej „nie-gospodarczej" polityki gospodarczej Berlina w stosunku do byłych wschodnich prowincji Rzeszy, dochód społeczny mógł tam sięgać 19 miliardów złotych przedwojennych[13]. Cyfra ta jak na stosunki panujące w innych częściach uprzemysłowionych Niemiec mizerna — jak na rolnicze stosunki polskie olbrzymia[14].

Wśród szeregu nie poruszonych dziedzin gospodarczych znajduje się problem rolnictwa, którego znaczenie społeczne (przynajmniej częściowe rozładowanie przeludnienia wsi, nim „zbędni" będą mogli być wchłonięci przez odpowiednio rozbudowany przemysł) jest bodaj jeszcze istotniejsze od znaczenia gospodarczego. Nie zostało omówione obszerne zagadnienie rozszerzenia naszego dostępu do morza z 72 km do ok. 500 km. Dzięki temu będzie można obecnie rzeczywiście poważnie myśleć i mówić o „wyjściu na morze" i wyzyskaniu wszystkich wypływających stąd atutów gospodarczych, zarówno w dziedzinie wymiany międzynarodowej, jak w rozbudowie transportu morskiego, czy chociażby w dziedzinie rybołóstwa, które na bałtyckim wybrzeżu Ziem Odzyskanych dostarczało przed wojną ok. 50.000 ton ryb rocznie. Pamiętamy przecież, że przed

[12] W czasie wojny roczna produkcja osiągnęła 35,000 ton. Przed wojną importowaliśmy ok. 6,000 ton kwarcytów rocznie.

[13] Rok 1928.

[14] W roku 1928 dochód społeczny w Polsce obliczano na ok. 24 miliardy złotych Czyli, że na jednego mieszkańca w Polsce wypadało ok. 750 zł., podczas gdy na Ziemiach Odzyskanych ok. 2, 235 zł.

wojną nasze połowy morskie ograniczały się do kilkunastu tysięcy ton i mimo stosunkowo bardzo niskiej konsumcji w kraju, import ryb z zagranicy wynosił ok. 70.000 ton rocznie. Obecnie odbudowuje się sprzęt rybacki, szkoli się intensywnie rybaków, by można było jak najprędzej przystąpić do wykorzystania tych 14 portów rybackich (poza portami Zalewu Wiślanego i Szczecińskiego), które obecnie posiadamy.

Wchłonięcie Ziem Odzyskanych dzięki ich olbrzymim możliwościom, mimo zniszczeń wojennych znacznie przekraczających to co można oglądać na zachodzie Europy, daje nam szanse odrobienia zaległości w rozwoju gospodarczym powstałych wskutek polityki zaborców w XIX i początkach XX wieku. Bez nich, przy nader skromnych możliwościach pozostałych obszarów Polski, bylibyśmy skazani na to, by zawsze pozostawać w tyle za krajami, które miały możliwości swobodnego rozwoju wówczas, gdy powstawały podwaliny nowoczesnego przemysłu, by zawsze stanowić ten najbardziej zacofany pod względem gospodarczym kraj Europy Środkowej ze wszystkiemi skutkami tego stanu rzeczy zarówno gospodarczymi, jak i społecznymi.

Wracając raz jeszcze do poruszanego już zastrzeżenia, że „nie damy rady", zastrzeżenia tak często wysuwanego przed ćwierć wiekiem po przyłączeniu Górnego Śląska do Polski, nie bezpodstawne będzie przypuszczenie, że „pra-źródła" jego należy szukać tam, gdzie i wówczas. Odpowiedź na to zastrzeżenie będzie wyglądać na Ziemiach Odzyskanych tak samo, jak wyglądała na Górnym Śląsku, jak wyglądała w Gdyni. Narazie niech wystarczy jeden przykład z pośród setek. Wrocławska Fabryka Sztucznego Jedwabiu została przejęta w takim stanie, że pierwsza komisja rzeczoznawców miała wątpliwości, czy ją wogóle będzie można uruchomić. Zdemolowane były kotłownie i turbiny elektryczne, rurociągi zatkane wiskozą, maszyny te, które nie były rozbite, miały usunięte najbardziej istotne części. Po kilku miesiącach wytężonej pracy, w której biorą udział „wypożyczeni" specjaliści z krajowych wytwórni sztucznego jedwabiu, fabryka wrocławska znajduje się już obecnie w tym stanie że będzie uruchomiona w ciągu maja r.b.[15] Każdy zarówno większy, jak i mniejszy ośrodek przemysłowy na Ziemiach Odzyskanych dostarcza analogicznych przykładów.

W artykule niniejszym zostały poruszone tylko nieliczne ważniejsze dziedziny, które niewątpliwie będą miały ogromny, decydujący wpływ na naszą gospodarkę narodową. Należy przy tym zaznaczyć, że obecnie są przeprowadzane w ramach Ministerstwa Ziem Odzyskanych bardzo gruntowne studia nad problemem właściwego zagospodarowania tych terenów. Chodzi mianowicie o to, by w maksymalny sposób wykorzystać ich możliwości potencjalne, kierując się wyłącznie przesłankami gospodarczymi, a nie kontynuować spaczeń dyktowanych nakazami politycznymi Berlina, które odgrywały tak wielką rolę, gdy ziemie te były we władaniu niemieckim. Chodzi o to, by zlikwidować sztucznie wzniesione bariery uniemożliwiające naturalną współpracę z resztą ziem polskich. I dla tego też ostateczne wcielenie Ziem Odzyskanych do Państwa Polskiego nie tylko nam da możliwości, których dotychczas nie posiadaliśmy, ale również pozwoli tym Ziemion wnosić większy wkład do gospodarki światowej, a przede wszystkim europejskiej, niż to miało miejsce dotychczas.

London, w marcu 1946.

[15] Fabryka została rzeczywiście uruchmiona w połowie maja b. r.

STANISŁAW ŁEMPICKI

KSIĄŻKI I LUDZIE

WSPOMNIENIA Z MINIONYCH LAT

(ciąg dalszy)

Został w szkolnictwie średnim, ugrzązł w polityce T.N.S.W., w mnogich innych zainteresowaniach, wybijając się swoją indywidualnością i umysłowością ponad poziom większości swoich kolegów. Uczniowie lwowscy Nankego i Paszkudzkiego, rozpoczynający studia historyczne w uniwersytecie, mieli zawsze w głowach jakoś więcej i jaśniej, niż inni.

Wśród stypendystów było jeszcze dwóch takich, których początkowe zamiłowania i studia szły w zgoła odmiennym kierunku, niż późniejsze. Któż by się na przykład domyślił, że późniejszy skryptor i kustosz Ossolineum Władysław Wisłocki wkroczył w mury Zakładu Narodowego jako przyrodnik-biolog. Niski, delikatny blondynek w cwikierze, cichy i uprzejmy dla wszystkich a tylko czasem niby od niechcenia dowcipkujący, — był moim najbliższym sąsiadem w Czarnikowym biurze. Siedział przy wielkim kwadratowym stole, tuż obok drzwi do pokoju Dyrektora, razem z prawnikiem Kormanem. Prawie nad głowami dudniły im żelazne schodki do pracowni. Władzio pracował bardzo pilnie, zajęty katalogowaniem, obłożony tomami Estreichera i innych dzieł pomocniczych; poczciwy Czarnik dawał mu porządną wyćwikę.

— Ff, pss, panie Wisłocki...

odzywało się co chwila i na Władzia spadały coraz to nowe postulaty. A on uśmiechał się i spokojnie odwalał robotę. Po południu chodził na wykłady zoologii i botaniki.

Ale powoli, zaczęła się w nim rodzić rodowa biblioteczno-bibliograficzna żyłka Wisłockich. Przecież jego własny stryj był tutaj w Ossolineum przed pół-wiekiem skryptorem i kustoszem (1866-1874). Także Władysław (jak on), znakomity później uczony-badacz i bibliograf, twórca katalogu rękopisów i katalogu inkunabułów Biblioteki Jagiellońskiej, wydawca źródeł do dziejów uniwersytetu krakowskiego, autor wielu cennych prac o naszej przeszłości. Młody Wisłocki znał go dobrze z tradycyj rodzinnych i był z niego dumny, jak ze swego Sasa. Zaczął się tedy cichy, uśmiechnięty stypendysta przepoczwarczać zwolna, lecz konsekwentnie z przyrodnika — w bibliografa-naukowca. Całkiem wedle zasad biologii. Studia przyrodnicze w uniwersytecie dostawały coraz pewniej dymisję i skończyły się na jakimś absolutorium; Wisłocki zagłębiał się w przepastne bibliograficzne królestwo, skręcał zainteresowaniami ku historii i polonistyce, ku książkoznastwu i dziejom książki, widząc już przed sobą powołanie swoje: bibliotekarstwo. Po prostu odżywał w bratanku zmarły stryj, w pewnym bardziej ograniczonym zakresie, i wtedy to młody Wisłocki dla odróżnienia od przodka zaczął nazywać się: Władysławem Tadeuszem Wisłockim. Nie żeby się z tamtym równał (był zawsze bardzo skromny), ale żeby w bibliografii było na przyszłość wszystko w porządku. Tak zrodził się przyszły redaktor „Przewodnika Bibliograficznego", wydawca całego szeregu publikacyj bibliograficznych, a po trosze i historyk Zakładu, aby wymienić tylko doskonałą rozprawę o tajnych drukach Ossolineum z roku 1833 i o procesie dyrektora Słotwińskiego.

Miał jednak Wisłocki już za młodu drugie jeszcze zamiłowanie: słowianofilstwo i słowianoznastwo. Tamto, bibliografia i bibliotekarstwo, wyszło z intelektu i rozwagi, to drugie, słowianofilstwo — raczej z wyobraźni. Skąd mu się ono materialnie wzięło, z jakiego dziedzictwa czy wpływu, — wiem. Zaczęło się — jak się zdaje — od sympatyj polsko-czeskich, od jakichś dalekich wspomnień z czasów Dąbrowskiego, Hanki, Palacky'ego, to znów Surowieckiego, Mickiewicza, Rościszewskiego i innych. Wisłocki zaczął bywać w towarzystwach Czechów. Potem z latami ten krąg sympatyj rozszerzał się na Słowian Południowych, na Ukraińców, wreszcie na Rosjan. Wisłocki odgrywał we Lwowie niemałą rolę w nawiązywaniu nici towarzyskich i intelektualnych z pobratymcami słowiańskimi; działał w tym duchu intensywniej, niż nieraz przypuszczano. Nie lubił się bowiem przechwalać. W tym jego okrzyczanym słowianofilstwie nie było żadnej nieszczerości, zakłamania, robienia sobie sławy; postępował tak, jak wierzył; inna sprawa, czy nie było czasem w tej wierze dużo prawie dziecinnej naiwności (bo trochę dziecinnym został do końca), a może braku należytego krytycyzmu i wyrobienia życiowego.

Już jako stypendysta lgnął Wisłocki-bibliograf do studiów słowiańskich. Uprawiał je samodzielnie; uczył się języków słowiańskich, częściowo przez konwersację z miłymi sobie pobratymcami; interesował się książką i czasopismem innych Słowian; zajmowała go przeszłość naszego słowianofilstwa, pewne osobistości, pewne drobne zagadnienia. Podśmiewano się trochę z naszego słowianofila, uważając go w pewnych wypadkach za fantastę. Lecz on uśmiechał się uprzejmie, informował z poczciwą miną, nie wywnętrzając się zbytnio, i — robił swoje.

Zachowałem o Wisłockim z ossolińskiej naszej młodości serdeczne wspomnienia. Przede wszystkim o jego uprzejmości i delikatnej grzeczności dla wszystkich. Widzę go zawsze nad tym stołem koło schodków, gdzie było jak najgorsze światło i gdzie wyglądał jak drugi mały Czernik, tylko weselszy z natury od tamtego. Od swego dawnego, najzacniejszego szefa nauczył się też może różnych swoich późniejszych dziwactw w katalogowaniu; porozbierał na przykład wszystkie osobistości literackie z ich powszechnie znanych nazwisk literackich, pseudonimów czy nawet nazwisk zmienionych, sprowadzając każdego stricte do metryki urodzin. I szukaj teraz, bratku, France'a i Prusa, Orkana i Struga, Jean-Paula i Conrada, a może i Voltaire'a jak wiatru w polu. No, przesadziłem, bo często bywały jeszcze odsyłacze.

Zginął on — słowianofil — z rąk ukraińskich nacjonalistów, którzy jak judasze uprowadzili go nocą i wydali na śmierć do rąk Gestapo w lipcu 1941 r.

* * *

Ale cóż to za przystojny, wesoły chłopiec z bujną, jak u lwa, czarną czupryną, gestykuluje tam żywo pod oknem w czasie śniadania? Składa charakterystycznie palce odwróconej prawej ręki, jakby ci chciał coś garścią naładować do rozumu. Nikt to inny, tylko A d a m F i s c h e r, romanista, uczeń Edwarda Porębowicza. Czy to jakiś krewny późniejszego etnologa, wieloletniego redaktora „Ludu" — autora tylu ksiażek, od których aż wyłysiała mu głowa? Nie, to właśnie on-że sam. Adam kochany. Poznaliśmy się ze sobą już dawno. Było to na długim ganku od podwórza, w pewnej małej, jednopiętrowej kamieniczce przy

ul. Zyblikiewicza, na rogu Skałki. Ja szedłem do 6-tej gimnazjalnej, Adaś — zdaje się — do 3-ciej lub 4-tej. Ja mieszkałem tam z rodzicami, Adaś z ukochaną babcią, ktora go wychowała. Ja studiowałem już z powagą, Adaś się jeszcze bawił blaszanymi żołnierzami na ganku. Nawiązała się między nami znajomość; babcia prosiła, bym pomagał Adasiowi w ćwiczeniach łacińskich, a za to obdarzała mnie co jakiś czas prześlicznymi notesami, ołówkami i piórami. Bardzo polubiłem Adama. Potem spotkaliśmy się na uniwersytecie i w Ossolineum i odnowiła się ta przyjaźń z drewnianego ganku, która już miała przetrwać na zawsze.

Fischer był zdolnym romanistą. Ale znakomity romanista, wielki tłumacz Dantego i Byrona, poeta i krytyk, Porębowicz, należał do tych profesorów, którym się nie udawało dotrzymać ucznia do końca i wypuścić go w świat ze stemplem swojej szkoły. Był chimeryczny, zmienny, nerwowy. Toteż i Adam Fischer, odkrywszy w sobie nowe zamiłowanie, porzucił dawnego mistrza, a oddał się z zapałem etnografii i etnologii. Poświęcił się jej wyłącznie i na całe życie, trafnie wyczuwszy tam swoje przeznaczenie. Na jego zainteresowania w tym kierunku mógł oddziałać i sam Porębowicz, doskonały znawca zagadnień etnologicznych, niezrównany tłumacz ludowych pieśni narodów romańskich i germańskich; na pewno zaś oddziałał Wilhelm Bruchnalski, też etnolog, redaktor „Ludu", badacz wątków i motywów ludowych i literackich, mający nas wszystkich, młodych, przy sobie w Ossolineum. Zresztą „folklor" był wtedy w atmosferze epoki, za granicą i na ziemiach polskich: w poczynaniach naukowych, i w literaturze Młodej Polski, w czasopismach i w namiętności zbierackiej zasłużonych ludoznawców. We Lwowie myślano o stworzeniu odrębnej katedry etnologii, na której niebawem zasiadł przejściowo Stanisław Ciszewski. Artykuły, notatki, recenzje Fischera zaczęły się już wcześnie pojawiać w „Ludzie". Uroczy był tytuł jednej z prac: „Wątek odkwitającej gałęzi". Młody etnolog, zanim wyjechał za granicę, zaczął sobie samodzielnie wyrabiać metodę i wytyczać drogi pracy.

Był jednak niski, czupurny Adam także wesołym chłopcem. Umiał cenić nie tylko pieśni i podania ludowe, ale i uroki życia. Zagarniając co chwila dłońmi czarną czuprynę, spadającą mu na czoło, żartował i śmiał się, opowiadał anegdotki, dogadywał kolegom, zawsze jednak bez żółci i złośliwości. Nie stronił od rozrywek i nie uciekał od niewiast. Miał minę sentencjonalną, poważniejszą nad swój wiek, gdy wykładał nam jakieś tam swoje odkrycia etnograficzne, a za chwilę zmieniał się w rozbawionego dzieciaka, jak niejeden z nas.

Korciło go też do dziennikarstwa i pisania rzeczy okolicznościowych, wykraczających poza jego ulubiony folklor. Coś o Lwowie coś o sprawach kulturalnych. Albo i o dorocznych zwyczajach ludowych i obrzędach, co tak chętnie przyjmowano w prasie. Do dziennikarstwa i publicystyki rwał się niejeden z nas, Ossolińczyków. Nie darmo mieliśmy Czapelskiego „w rodzie".

Na Adamie Fischerze zamyka się nasza grupa mniej więcej równolatków. A chociaż tam któryś z nas był może trochę starszy, dzisiaj, po latach, nie czyni to różnicy.

d. c. n.

JANUSZ MINKIEWICZ

SŁOWA . . . SŁOWA . . . SŁOWA . . .

(*pisane przed półtora rokiem w kraju – aktualne obecnie również i w Londynie*)

Kelnerka w knajpie „Gdynia"
Podając stek wieprzowy,
Powiada, że „pracuje
Dla celów odbudowy"...

Pan obywatel Kufel,
Właściciel knajpy „Gdynia",
Też twierdzi, że się „Sprawie"
„Zasłuża" i „przyczynia".

Swą charakterystykę
Ubiera w skromne słówka:
O sobie – że „incjator",
O knajpie – że „placówka"...

Dostawca knajpy „Gdynia",
Ćmiąc papierosa „Wolność",
Do wzniosłych powiedzonek
Objawia również zdolność:

On „handel uaktywnia
Przez trud i znój codzienny,
Czym wnosi w młode państwo
Wkład skromny, ale cenny"...

Gość stały knajpy „Gdynia"
Też z patrioty ma coś,
Bo w kinie był „Ojczyzna"
Na polskim filmie „Wacuś".

Rozbrzmiewa tak po kraju
Podniosłych słów symfonia:
Co kino, to „Ojczyzna".
Co dancing, to „Polonia"...

Odświętne wyrażenia
W powszechną wchodzą mowę –
Prywatne wyrażenia,
Lecz słowa – „narrodowe"...

Typowi typ się zwierza
(O mało przy tym nie łka),
Że jego „cicha praca,
To cenna jest cegiełka"...

Bynajmniej nie cegiełkę,
Lecz cegłę wziąć wartoby
I słowa bez pokrycia
Z niejednej wybić głowy!

Dopisane w Londynie :

Kabaret „Orzeł Biały"...
Wieszcz Hemar... tańczy girlsa*
A wszystko to dla chwały
Ojczyzny i Andersa.

Bynajmniej nie cegiełkę,
Lecz cegłę wziąć wartoby
I słowa bez pokrycia
Z niejednej wybić głowy!

WIERSZYK HISTORIOZOFICZNY

Ukrainiec dał mu w gębę,
Litwin mu siedzenie sprał,
Niemiec wybił wszystkie zęby,
Potem kulę w łeb mu dał.

Nad śmiertelnym go barłogiem
Spytał ktoś, ciekawski zbyt:
– Kto największym twoim wrogiem?
Ów, nim skonał, charknął: – Żyd!

DWA MOSTY 1926-1939

Swe rządy w maju zaczęli wprost:
Przeszli buńczucznie przez trzeci most.

Miedź zadźwięczała, zaświstał bat,
Rządzili Polską trzynaście lat.

Rząd ich się skończył, jak zaczął, wprost:
Ot, w Zaleszczykach przeszli przez most.

O TUTEJSZYCH...

Zapewniali, że mają poważanie w narodzie,
Że lud miejski i wiejski stoi przy nich zwarcie;
W końcu sami zostali na lodzie... na lodzie...
To jedyny lud, w jakim znaleźli oparcie.

---

* *wym.: gerlsa*

LITERATURA SZTUKA I NAUKA W ANGLII



(*rys. Feliks Topolski*)

HERBERT GEORGE WELLS 13. VIII. 1946 †

(Wyjątki z prasy angielskiej.)

JULIAN HUXLEY („The Spectator"): Ze śmiercią H. G. Wellsa tak jakby cała epoka doszła do swego końca, choć trudno byłoby zdefiniować ją dokładniej i nazwać. Trudno jest uświadomić sobie że Wells był uczniem T. H. Huxley'a, że zaczął wydawać książki nim królowa Victoria święciła swój Diamentowy Jubileusz. Mimo to możemy być może nazwać Wellsa doskonałym wyrazicielem post-victorianizmu — niespokojnego, intelektualnego, krytycznego a jednak konstruktywnego. Pod jego nazwiskiem w „Who's Who" znajdujemy przeszło sto publikacji — więcej niż dwie rocznie w ciągu 50 lat. Ta niezwykła wydajność jest w gruncie rzeczy wynikiem pracy czterech różnych Wellsów — Wellsa powieściopisarza, Wellsa naukowego bajopisa, Wellsa komentatora, pamflecisty i proroka, oraz Wellsa encyklopedysty — a każdy z tych czterech był wybitny.

Pierwszemu Wellsowi trwałe miejsce w literaturze angielskiej zdobyły jego powieści KIPPS i TONO-BUNGAY i MR. POLLY.

Drugi Wells dał nam najlepsze opowieści naukowe jakie kiedykolwiek były napisane: THE WAR OF THE WORLDS, THE FOOD OF THE GODS, THE ISLAND OF DR. MOREAU, THE TIME MACHINE, THE STOLEN BACILLUS, THE CRYSTAL EGG, THE VALLEY OF SPIDERS, THE MAN WHO COULD WORK MIRACLES. (Wojna Światów, Pokarm Bogów, Wyspa Dra Moreau, Wehikuł Czasu, Skradziony Bakcyl, Kryształowe Jajo, Dolina Pająków, Człowiek Który Mógł Czynić Cuda.)

Trzeci Wells propagował socjalizm w czasach fabiańskich*, ogłosił zdumiewające przepowiednie co do przyszłych sposobów prowadzenia wojny (pokazując przytem jak kłopotliwym jest dla przepowiedni kiedy nie tylko sprawdzają się ale i zostają w tyle za wypadkami), okazał się mistrzem satyry w ALL ABOARD FOR ARARAT oraz mistrzem utopijnej techniki w A MODERN UTOPIA, pisał uwagi i komentarze na temat Rewolucji Rosyjskiej, nowoczesnych prądów wychowawczych, religii, organizacji światowej, i na temat wielu innych zjawisk dotyczących teraźniejszości i przyszłości. Wiele z jego książek to w istocie swej pamflety albo traktaty na czasie, ale ubrane w formę powieściową. I tak JOAN AND PETER to pamflet na temat wychowania, THE NEW MACHIAVELLI na temat współczesnej polityki, WILLIAM CLISSOLD na temat magnaterii przemysłowej, MR. BRITLING zaś na temat wojny światowej i intelektualnego przewrotu jaki spowodowała. I nawet jego EXPERIMENT IN AUTOBIOGRAPHY raz za razem zrywa z autobiografią by komentować na temat idej ogólnych i poszczególnych wypadków.

Czwarty Wells wreszcie zaprojektował i w dużym stopniu wykonał zadziwiającą trylogię składającą się z przystępnych opracowań historii świata, biologii ogólnej, oraz ekonomii i socjologii. Wells encyklopedysta otrzymał był parę mocnych szturchańców od specjalistów i pedantów. Najlepszym tu komentarzem będzie to co usłyszałem od pewnego rozumnego

* Fabian Society, stowarzyszenie socjalistyczne, założone w Anglii w 1884, propagujące stopniowe wprowadzenie zasad socjalistycznych zapomocą metod pokojowych.

i znakomitego wykładowcy historii na jednym z naszych najstarszych uniwersytetów, który po skrytykowaniu OUTLINE OF HISTORY („Zarys Historii”) z lewa i z prawa, wyznał wkońcu że wolałby raczej być autorem tej jednej jedynej pracy niż tego wszystkiego co już był napisał i co jeszcze prawdopodobnie napisze. Instynkt Wellsa był tu, bez wątpienia, trafny. Około r.1920 postęp nauki zmiażdżył starą jedność spojrzenia i nowa wiedza zbudowana została z szeregu bardzo ciasnych przedziałów, z których każdy odgrodzony był od reszty za pomocą nieprzekraczalnych barier, strzeżonych przez zazdrosny, zamknięty w sobie profesjonalizm. Wells odczuwał nieodpartą potrzebę zjednoczenia, syntezy, odzyskania pojedyńczego spojrzenia na świat. I uczynił on więcej niż jakikolwiek inny pojedyńczy człowiek, jeśli chodzi o układanie fundamentów pod ową syntezę, — fundamentów, na których już wznosić się zaczyna nowy budynek wiedzy zjednoczonej. W ciągu ostatnich lat mniej więcej dziesięciu dążył do stworzenia nowej encyklopedji światowej. Projekt ten pozostaje jak dotąd niezrealizowany, choć w ciągu ostatniej wojny Wells zdołał utworzyć komitet złożony z osób wybitnych i doprowadził do tego że sformułowany został ów cenny dokument: PRAWA CZŁOWIEKA

Nie wolno nam zapominać o wypadach Wellsa w sferę życia praktycznego. Jego przepowiednia tanku zapewniła mu miejsce w Departamencie Wynalazków Wojennych, gdzie, w ciągu pierwszej Wojny Światowej, był wcale nie najmniej wartościowym członkiem tej interesującej grupy ludzi pracujących pod kierownictwem Northcliffe’a nad oficjalną propagandą. I jeśli uderzającym jest to co mógłbym nazwać przestrzenną sferą zainteresowań i osiągnięć Wellsa, jego ewolucja w czasie była nie mniej niezwykła. Syn ogrodnika, zawodowego gracza w kriketa, oraz panny-służącej, gospodyni; subjekt u sukiennika i u aptekarza; połykacz książek i łowca idej; żarliwy młody socjalista; młody człowiek którego rozbita nerka i groźba gruźlicy zamieniła w pisarza; badacz osobistych związków z kobietami, związków tak świetnie choć może niewyczerpująco opisanych w AUTOBIOGRAFII; badacz świata wiedzy i myśli, świata racjonalnych przewidywań; poszukiwacz przygód na krawędziach i w fundamentach polityki i spraw praktycznych; zapalony internacjonalista w czasach pierwszej wojny i potem; teoretyczny zwolennik planowania ale krytyk planowania takiego jakie znalazł w Rosji; i wreszcie encyklopedysta z rozmysłu.

Wells, jak i wszyscy, miał swoje braki i wady. Etykietka jaką mu przypiął był Lenin, nazywając go jakoby małym mieszczańskim filistynem, była przesadą, sprowokowaną być może przez ów niewątpliwie zaczepny sposób argumentacji jakiego Wells użył w czasie ich spotkania; było w niej jednak (jak to Wells sam przyznaje w związku z jego wersją na temat tej uwagi — „nieuleczalnie middle-class”) ziarnko prawdy. Wells lubił dobrą muzykę i zgrabna architekturę i przyjemne malarstwo i dekoracje wnetrz (choć nie przypominam sobie u niego zainteresowania poezją, ani też jakiejś wzmianki o niej w AUTOBIOGRAFII), pewien jednak jestem że na samym dnie jego myśli tkwiło przekonanie że poświęcić całą energię sztuce, muzyce czy poezji byłoby, jako powołanie, czymś niższym od pogoni za wiedzą i za ideami, i od wprowadzania idej w życie.

We wszystkich dziedzinach, czy to nauka czy sztuka, nie mógł znieść widoku ludzi wielkiego talentu a nieczułych na krzywdy świata. To uczucie coraz bardziej pogłębiało się w nim z biegiem czasu. Umysł jego bystry bardzo łatwo niecierpliwił się wszystkim tym co w dziedzinie intelektualnej posuwa się powoli, krok za krokiem, jakkolwiek by taki stan rzeczy użyteczny nie był przy wznoszeniu gmachu wiedzy i nauki. To jednak były wady jego zalet. Bez nich nie mógłby osiągnąć tego szerokiego spojrzenia, obejmującego cały świat myśli, tego swego spojrzenia które było sekretem jego sukcesu...

H. G. Wells był rzadko spotykanym połączeniem naukowca i humanisty. I jeśli nawet żywość jego umysłu i niekończąca się rozmaitość zainteresowań przeszkadzały mu w zogniskowaniu energii na jakimś pojedyńczym zagadnieniu, co jest niezbędne przy poszukiwaniach naukowych, to jednak był on z pewnością głównym z tych czynników, które spowodowały iż duch badawczy nowoczesnej nauki wpływać zaczął na polityczną i społeczną myśl i czyny. I jeśli nawet, jak to podsunąłem, miał skłonność do niedoceniania jakichś działalności, takich jak sztuki, to jednak pewne jest że jego do gruntu ludzka natura i jego szerokie zainteresowania humanistyczne nie pozwoliły mu nigdy na zacieśnienie naukowych czy intelektualnych poglądów.

Tak wiele z tego o co walczył uznane jest dziś za naturalne i oczywiste i przyjęte jako część naszego spojrzenia na świat, że olbrzymiość jego w tym udziału przeoczona zostać może przez młodszych od niego, przez młode pokolenie. Pokolenie tych którzy byli młodsi od niego w czasach wojny 1914-1918 z pewnością wiedziało że był on potężnym czynnikiem w ich intelektualnym i społecznym wyzwalaniu. Nie zapomnijmy czym był jego udział — niczym mniej niż tym iż więcej niż jakikolwiek inny pojedyńczy człowiek naszego stulecia uczynił, aby zmienić prąd nowoczesnej myśli i skierować go w stronę postępu.

ROBERT LYND („News Chronicle"):... Długo jeszcze będą ludzie zastanawiać się nad tym czy najwyższy wkład jego w naszą epokę literacki był społeczny, czy wychowawczy. Wielu z nas uważa powieści za koronę jego twórczości, czy to będą powieści o życiu współczesnym, takie jak TONO-BUNGAY, czy też powieści prorocze, takie jak THE WAR OF THE WORLDS („Wojna Światów"); przez długi okres czasu jednak największy wpływ na ludzi współczesnych mu lecz młodszych wywierały jego książki dydaktyczne, takie jak A MODERN UTOPIA i NEW WORLDS FOR OLD.

Jeśli w czymś chybił jako nauczyciel, to w tym, sądzę, że cierpliwości mu zabrakło nie tylko w stosunku do tych ludzi którzy mu byli przeciwni, ale i w stosunku do tych z którymi mniej lub bardziej był w zgodzie. Żarliwy socjalista, pokłócił się był najpierw z socjalizmem Stowarzyszenia Fabianów (Fabian Society), a potem, w późniejszym okresie życia, z socjalizmem Partji Komunistycznej. Musiał mieć rzeczy dane tak jak chciał, albo wcale. Głosił ewangelię Państwa Światowego, pogardzał jednak tak skromnymi próbami zjednoczenia świata jakie kryły się w Lidze Narodów.

Godna zastanowienia jest jednak ta masa energii jaką włożył w swe książki oświatowe, w których usiłował dać przegląd całości nie tylko historii ale i nauki i ekonomii. Nic podobnego nie miało miejsca przedtem w świecie nowoczesnym.

... mimo ochoty do życia, nie było w nim pragnienia by żyć raz jeszcze po śmierci. „Jedno życie" powiedział kiedyś ,to zupełnie dość dla małego H.G." W latach ostatnich jednak, spojrzenie Wellsa, nawet na to jedno życie tutaj, stawało się coraz bardziej pesymistyczne. Głosił dalej swą doktrynę zbawienia przez edukację światową; zdawało się jednak że stracił wiele ze swej dawnej wiary w istoty ludzkie. W jego ostatnich książkach, rzeczywiście, istoty ludzkie wydają się niebardzo warte tego by je zbawiać. Ze starą nieustraszoną żarliwością głosił dalej ewangelię swoją, ale z mniejszą niż dawniej nadzieją. Geniusz jego jednak już dziś zmienił wygląd naszego pokolenia i, poza tym, pierwszymi powieściami swymi uczynił wkład do literatury, który będzie radością czytelników należących do pokoleń jakie nadchodzą.

DESMOND MacCARTHY („The Sunday Times"):... Póki idea postępu — a zrodziła się ona w osiemnastym stuleciu — nie owładnęła umysłami ludzi, pisarze umieszczali Utopie w przeszłości. Wyobraźnie ich wpatrzone były w szczęśliwego i „szlachetnego dzikusa", a nie w szczęśliwego i wspaniałego człowieka który miałby nadejść. Wraz z opanowywaniem Przyrody powstało pojęcie Postępu i idea Raju przed a nie za nami. Nie było pisarza któryby z większą niż Wells pasją i z większym niż on uporem wierzył w przyszłość ludzkości. Nie ma tu poco przypominać jak wiele Utopij i „przewidywań" znaleźć w jego książkach można. Dwiema głównemi cechami odznaczają się one: oparte są na wierze iż urzeczywistnić się mogą dzięki zastosowaniu nauki; i, po drugie, sugerują iż natychmiastowe kroki polityczne powinny być przedsięwzięte.

Gdyby jednak ów „prorok" bytujący w Wellsie, reformator i pełen wyobraźni człowiek nauki nie był w jedno stopiony z urodzonym powieściopisarzem, wpływ jego na tak wielu we wszystkich krajach nigdy nie byłby tak wielki. Jego siła jako powieściopisarza leży w tym iż sam był pod wielu względami człowiekiem przeciętnym — fakt który oczom wielu z tych co go znali przesłaniał to co było w nim wielkie. Troską jego upartą, gorączkową, — nawet żałosną — było stworzenie lepszej cywilizacji. Oto ów motor, kryjący się za tą jego olbrzymią, nieustanną, różnorodną wydajnością. Tylko tą swoją pasją chlubił się...

Kiedy jesteśmy młodzi, sądząc po własnej naszej naturze która w tym okresie życia wydaje się łatwa do przekształcenia na lepsze, gotowi jesteśmy wierzyć iż to samo jest prawdą jeżeli chodzi o świat. Bowiem w każdym okresie życia osądzamy według siebie samego nietylko innych ludzi ale i świat. Kiedy namiętności nasze zaczynają przygasać, dostrzegać zaczynamy stronę durną i czczą naszych uniesień, a kiedy życie nasze ostyga, przestajemy wierzyć że entuzjazm i energia wystarczą by zmienić od podstaw to co nas otacza. Który wiek jednak rację ma za sobą — młodość czy dojrzałość? Wells, aż do końca swego życia, sądził iż racja jest po stronie młodości.

„Time and Tide": Jest jednym ze znamion wielkości stworzenie nowego przymiotnika; przymiotnik „Wellsian" (welsowski), tak często i ze zrozumieniem używany dziś fragment naszej mowy, jest dźwięczącym hołdem dla tego olbrzymiego wpływu, jaki wywarła wielka postać naszych czasów...

„Reynolds News”:... z jeszcze większą dumą przypominamy tę rolę, jak Herbert George Wells odegrał w walce z niesprawiedliwością, nędzą i hypokryzją.

„News Chronicle”:... Bardziej niż ktokolwiek inny zdawał on sobie sprawę z tego jak wiedza ścisła obrócona być może na najwyższe dobro, albo na rujnujące zło. Nie był on tylko prorokiem naukowych cudów; poświęcił się temu by pchnąć naprzód sprawę zjednoczenia świata, wiedział że w epoce nauki ono tylko jedno dać może ludzkości bezpieczeństwo. Był on palcem wskazującym człowiekowi drogę zbawienia. Nie jego wina jeśli nie mógł stóp naszych na drodze tej ustawić.

Z PRZEMÓWIENIA J. B. PRIESTLEY'a W KREMATORIUM

... Albowiem to był ów człowiek, którego słowo światłem stawało się w tysiącach miejsc gdzie panowała ciemność. Od początku naszego stulecia, od kręgów polarnych po zwrotniki, gdziekolwiek byli młodzi mężczyźni i kobiety chcący uwolnić się od umysłowego niechlujstwa, od przesądu, od nieuctwa, od okrucieństwa i od strachu, tam był z nimi H. G. Wells, niezmordowany, gotów do nauczania i dodania otuchy.

Zwracali się ku niemu o pomoc w ich walce o wiedzę, i nigdy nie przychodzili napróżno.

Jego talent literacki bogaty był i niepospolity — najlepsze z jego powieści i nowel znajdują się pośród najdoskonalszych dzieł stworzonych w naszych czasach — należy on jednak nie tylko do literatury angielskiej lecz również i do historii świata, jako wielki wychowawca i jako naczelny prorok tej epoki przemian, w pasji i żalu przewidujący na długo naprzód kształt rzeczy jakie nadchodzą.

I dziś, zaprawdę, wraz z naszymi rakietami i bombami atomowymi, w welsowskim żyjemy świecie. Zawiśliśmy nad skrzyżowaniem dróg, prowadzących albo do świata prawdziwej cywilizacji, albo do możebnego wytrzebienia naszego gatunku, i niema już takiego szaleńca, któryby rzekł iż Wells czczym był prorokiem.

Widział dalej niż inni. To jedyne w swoim rodzaju połączenie mocy literackiej z intuicją, doświadczeniem społecznym i wczesnym treningiem naukowym dało mu ów głęboki wgląd w dziwny historyczny dramat naszego czasu. Dwusiężna była jego wizja, na daleką i bliską metę nastawiona.

Dalekosiężna wizja, zrodzona z jego studiów biologicznych i z jego żywej wyobraźni, pokazywała mu Ludzkość jako gatunek, przedzierający się poprzez ciemność i bagna, poprzez okrucieństwa i strach, ku prawdzie i pięknu, ku wolności i radości. Z namiętną lojalnością pracował więc nad uformowaniem, ukształtowaniem tej nieskończone nadzieje budzącej rodziny, jaką jest Ludzkość.

Jego druga — na krótką metę nastawiona — wizja, która uczyniła go naczelnym prorokiem naszych czasów, i dała mu kanwę dla wielu jego najlepszych powieści, była wizją zwykłego małego człowieka — osaczonego lecz pełnego nadziei, oszukanego lecz wzruszająco dzielnego — przez siły, których nie może zrozumieć, zepchniętego w świat gigantycznych konfliktów i ponurych wydarzeń; w ten sam świat, w którym H.G. sam znalazł się w ciągu ostatnich lat; stary i często zapadający na

zdrowiu, wciąż jednak niepokonany, H.G., nie opuszczający swej zrujnowanej przez bomby ulicy i londyńczyków, których znał tak dobrze.

Czas totalnej i strasznej wojny, przed którą ostrzegał nas tak często, nadszedł wkońcu; ale Wells był z nami i dzielił ten czas z nami. Spoglądając wstecz, przypominając sobie jak mało pociechy dać mu mógł ów jego dziwny zmysł przewidywania, możemy zdumiewać się nad rześkością jego ducha szerokim zasięgiem jego geniuszu i wspaniałymi wyżynami jego myśli.

Albowiem — jak to wszyscy możemy tu przyświadczyć — nie był on prorokiem posępnym, ani odwracającym się od nas ku swej prywatnej pustyni, ani pogardzającym przyjaźnią czy żartem. Był to człowiek który napisać umiał KIPPSa i MR. POLLY i TONO-BUNGAY, człowiek który listy swe ozdabiać umiał małymi śmiesznymi rysuneczkami, który wynajdywał hałaśliwe zabawy rodzinne, którego oczy niebieskie umiały mrugać psotliwie, i którego głos, co nigdy nie stracił tego świdrującego uszy tonu cockney'oskiej bezczelności, podnosił się coraz wyżej i wyżej w przyjacielskich sprzeczkach; nietylko potężna osobistość, ale i najbardziej miły człowiek.

Mógł być, oczywiście, ostry, raczej nietoleracyjny, łatwo irytujący się, nie było jednak ani źdźbła dumy w jego naturze. Kiedy wpadał w gniew, to dlatego iż wiedział, o wiele lepiej niż my, iż życie nie musi być nędznym, chciwym rozpychaniem się; a kiedy był zniecierpliwiony, to dlatego że wiedział iż tuż poza dzisiejszym zasięgiem naszej dłoni istnieją wspaniałe dary ciała, umysłu i ducha.

I zawsze była tam wielkość; niezwykły zasięg jego umysłu, fontanny idej, kruszące i budujące osądy, i niewyczerpane współodczuwanie z nami wszystkimi, ludźmi wszystkich kolorów i ras, w naszych błąkaniach się, rozpaczach i nadziejach. ...Wspominać będziemy go z wdzięcznością i wzruszeniem — w naszych sercach żyć będzie i wciąż oświetlać nasze umysły — gdy, w co wierzę, służyć będziemy tej jego wizji Jednego Świata, domu całej rodziny ludzkiej, uwolnionej wreszcie od nieuctwa, okrucieństwa i strachu...

LITERATURA, SZTUKA I NAUKA W ANGLII

ALBERT EINSTEIN O BOMBIE ATOMOWEJ

André Labarthe, doktór fizyki i specjalny korespondent naukowy londyńskiej gazety niedzielnej „Sunday Express", był obecny w Bikini w czasie doświadczeń nad bombą atomową i ogłosił wywiad z Albertem Einsteinem. „Na szczycie schodów" pisze dr. Labarthe, „stał Albert Einstein. Nosił stary niebieski sweter, brązowe szorty i uśmiechając się przyjaźnie, wyciągał rękę do mnie. Mieszka w skromnym drewnianym domku w Princeton, w New Jersey, bardzo skromnie umeblowanym. W gabinecie jego mało jest książek, dużo rękopisów, arkusze z obliczeniami porozrzucane na stole, parę fajek, skrzypce i dwa portrety — Maxwella i Faraday'a".

Ponieważ wiem, z listu pana do Prezydenta Roosevelta, iż jest pan inicjatorem badań, które doprowadziły do rozbicia atomu uranu i zbudowania bomby atomowej, chciałbym zapytać pana czy prawdą jest iż prace nad tym prowadzone były nie tak szybko jak było można?

Einstein: Tak. Zawodowi wojskowi którzy tak dużo mówią dzisiaj, i tak głośno, i z taką arogancją, okazywali na początku sceptycyzm, który często działał hamująco. Można było bombę dwa lata wcześniej wynaleźć i wielu nieszczęściom zapobiec.

Czy myśli pan że ostatnie odkrycia wpłyną na zmianę biegu naszego życia i na los świata?

Einstein: Nic już nie może pozostać takie jak było. O tyle jednak o ile znam stan tych badań, daleko jeszcze jesteśmy od chwili w której będziemy mogli używać dla potrzeb życia codziennego, małych ilości tych produktów, za pomocą których umiemy rozbijać atom. Ropa i węgiel nie idą jeszcze w zapomnienie. Pewne jest jednak, że siły atomowe uranu i plutonu będą użyte w bardzo wielkich centralach rozprowadzających energię, oraz dla przygotowania destrukcyjnej, na wielką skalę zakrojonej wojny.

Znajdujemy się na progu nowego świata. Naukowcy dali ludziom poważne siły. Politycy przechwycili je w swe ręce. Świat wybrać musi pomiędzy niewymowną żałosnością mechanizacji prowadzonej dla zysków czy podbojów i zdrową młodzieńczością nauki i techniki, służącej potrzebom społecznym nowej cywilizacji.

Czy sądzi pan że wojna która właśnie się skończyła zawiera w sobie zarodek następnej wojny?

Einstein: Niech pan powie wszystkim którzy będą pana czytać, że jeśli jutro będzie następna wojna, to rozwój techniki wojskowej i straszna siła broni, opartych na tych nowych odkryciach, przyniesie zniszczenia takie iż miasta, ludzie i narody zmiecione zostaną raz na zawsze.

I jeśli politycy będą szli dalej swą drogą, tak jak to widzimy teraz, bez kontroli, bez najmniejszej reakcji ze strony ludzi pojedynczych i ze strony mas, bez poważnego protestu ze strony ludzi nauki, artystów, pisarzy i wszystkich ludzi, których myśli znaczą cokolwiek dzisiaj; jeśli krystalizowanie się sił przeciwnych sobie będzie się w dalszym ciągu kierować dawnym przyzwyczajeniem i nienawiścią, najbardziej okrutna wojna będzie nieunikniona. I bardzo szybko nadejdzie.

Jeśli zaś niemożliwe jest stworzenie bezpieczeństwa za pomocą akcji cywilnej, politycznej i społecznej, to bardzo bliska jest chwila, w której świat pójdzie z dymem.

W związku z tajemnicą atomową uważam za rzecz opłakania godną naprzykład to, iż dokonano czynów które wzmagają rosyjską nieufność do bezstronności międzynarodowych układów. W tych rzeczach, skoro raz niepewność się zrodzi, zaufanie wzajemne naruszy, wytwarza się i rozwija sytuacja psychologiczna, ciężarna katastrofą.

Za tajemniczością jaką się osłania bombę atomową, zbyt często dostrzec można tendencje zmierzające do hegemonji. Zbyt często maskę liberalizmu imperjalizm nakłada na siebie. Nie wiem dlaczego Rząd Amerykański tak często lubi postrach rzucać na świat, skoro intencje jego niewątpliwie nie są agresywne. Zbrojenia w Ameryce rosną z zastraszającą szybkością. Przed wojną nie było kredytów na wzmocnienie nawet najbardziej żywotnych linji obronnych; dziś szał zbrojeniowy pożera wszystko.

Czy sądzi pan że nowe bomby atomowe mogą dokonać zniszczeń większych niż w Hiroszimie? Czy waga ich wzrosła?

Einstein (wybuchając śmiechem): Pssst! Nie mówmy o tym. Nie mam wcale ochoty na to byśmy obaj spędzili razem resztę naszych dni w więzieniu. (Poważnie): Niestety, typ bomby jakiej użyto w Hiroszimie jest już dzisiaj przestarzały i to samo dotyczy możliwości spustoszeń.

Słyszałem że uczeni amerykańscy potępiali atak atomowy niepoprzedzony dostatecznymi ostrzeżeniami i że chcieli by tylko pokazać nieprzyjacielowi potencjalne możliwości bomby atomowej, co już samo niechybnie spowodowałoby kapitulację.

Einstein: Tak było. Większość uczonych sprzeciwiała się nagłemu użyciu tej broni. Zamiarem ich było zademonstrować ją światu aby przekonać nieprzyjaciela o jej istnieniu i o jej masowej sile destrukcyjnej. Przypuszczam że w tym co się stało zaważyła chęć by za wszelką cenę zakończyć wojnę na Pacyfiku nim Rosja weźmie w niej udział. Pewien jestem że gdyby prezydent Roosevelt żył jeszcze wtedy, nic podobnego nie byłoby możliwe. Nie dopuściłby był do żadnego z tych aktów.

Widzi pan, Prezydent był w swoim rodzaju artystą... Posiadał nie tylko wielki talent polityczny, ale i zdumiewającą intuicję tam gdzie chodziło o sprawy ludzkie.

Czy chce pan, żebym to napisał?

Einstein: Tak. Głęboko w to wierzę. Roosevelt posiadał owego ducha międzynarodowego, a to właśnie przez brak międzynarodowego zrozumienia świat nasz jest w niebezpieczeństwie.

Jak, według pana, będzie można rozwiązać problem niemiecki?

Einstein: Łudzi się ten kto sądzi że w umysłowości niemieckiej dokonać będzie można zmian jakichś zapomocą dziesieciu czy dwudziestu lat reedukacji, opartej na zasadach demokratycznych. Tradycja mocniejsza jest niż rozsadek.

Żyłem w Niemczech w latach wojny 1914-1918. Znam Niemców. Mentalność ich jest jakby ustanowioną stałą historyczną. Przyczyny ich nieszczęść, w ich oczach, zawsze będą tylko

techniczymi przyczynami, a nie rezultatem zasad politycznych, które przyswoili sobie.

Francuski projekt odłączenia okręgu przemysłowego od Niemiec środkowych jest mądrym projektem i powinien być podtrzymany przez wszystkie pokój miłujące państwa. Wiara w możliwość ewangelizacji Niemiec — to dziecińśtwo.

Jedyny sposób osiągnięcia prawdziwego bezpieczeństwa to stworzyć takie warunki aby w nich Niemcy nie mogły już więcej mieć do swojej dyspozycji tego olbrzymiego przemysłu, któryby pozwolił im na trzecią próbę podboju Europy.

Widzimy dziś jak trafnie Clemenceau ujął ten problem, o wiele trafniej niż inni współcześni mu mężowie stanu.

Wierzę iż zazdrości pomiędzy zwycięzcami nie powstrzymają ich od tego by rozsądnie rozwiązać to bardzo ważne zagadnienie. Niebezpieczeństwo niemieckie możliwe jest tylko wtedy, kiedy jest rozdźwięk pomiędzy zwycięzcami.

Czy wierzy pan w federację Europy, mimo przeszkód językowych?

Einstein: Jedność tak długo nie jest możliwa, jak długo trwa duch odwetu. Biorąc pod uwagę stan psychologiczny w jakim Europa znajduje się dzisiaj, wydaje się że jedyne pomyślne rozwiązanie jej problemów znaleźć można w super-nacjonalizmie.

Jeśli internacjonalizm jest bezsilny, niebezpieczeństwo niemieckie samo w sobie może stać się powodem do połączenia, obawiać się należy jednak że antagonizm, jaki istnieje pomiędzy zwycięskimi potęgami, stać się może, tak jak po poprzedniej wojnie, przeszkodą bardzo poważną.

Dziś, przy tych wszystkich możliwościach zbrojeń nowoczesnych, nie istnieje bezpieczeństwo państwa czy kontynentu, bez bezpieczeństwa całego świata.

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

RT. HON. SIR SAMUEL HOARE (VISCOUNT TEMPLEWOOD): „AMBASSADOR ON SPECIAL MISSION", Collins. 16s. — Kiedy wojska brytyjskie opuszczały Dunkierkę Sir Samuel Hoare przybył do Madrytu obarczony specjalną misją. Misją jego było uczynić wszystko co możliwe aby Hiszpania nie weszła do wojny i aby przeciwdziałać wpływom niemieckim. Autor opisuje w jaki sposób misja odniosła sukces, przedstawia problemy i osoby z jakimi się spotkał oraz specjalne metody pracy generała Franco. Książka dzieli się na cztery części: „Prebelligerency," „Hesitations", „Non-belligerency" i „Unneutral Neutrality" generała Franco. Przez długi czas Franco wierzył w ostateczne zwycięstwo Niemiec, później jednak sądził że dojdzie do impasu w którym będzie mógł odegrać rolę pośrednika. Zadaniem Ambasadora było dostarczać mu argumentów któreby działały na zwłokę. Argumentami tymi była czasem pomoc ekonomiczna której towarzyszyło przypomnienie że Hiszpania nie może się obejść bez pewnych dostaw których tylko Brytania i Stany Zjednoczone mogą jej dostarczyć, czasem znów był to stały dopływ wiadomości o niepowodzeniach niemieckich, a czasem gra przeplatana protestami przeciw uprzywilejowaniu agentów niemieckich i szykanowaniu obywateli brytyjskich. Po

* wdłg. Times Literary Supplement.

zorganizowanym napadzie na Ambasadę Brytyjską w Madrycie, w czerwcu 1941, rozegrała się następująca scena:

„Postanowiliśmy zatem iść wszyscy razem do Ministra Spraw Zagranicznych i zażądać oficjalnego przeproszenia za to co się stało...Po naszym przybyciu sekretarz prywatny który nas przyjął zaproponował abym ja sam jeden wszedł do Ministra, mój sztab zaś aby został nazewnątrz. Odpowiedziałem na to że przyszliśmy razem jako ciało dyplomatyczne aby zaznaczyć powagę sytuacji i jako ciało dyplomatyczne musimy zobaczyć Ministra. Wygrawszy ten punkt, weszliśmy do pokoju Ministra. Mimo że zaofiarował nam krzesła pozostaliśmy stojąc, podczas gdy ja najpierw odczytałem a potem wręczyłem mu w ostrych słowach zredagowany protest. Kiedy skończyłem Minister próbował dać nam jakieś wyjaśnienia. Przerwałem mu, mówiąc sucho że nie przyszliśmy tu aby się kłócić. Poczem skłoniliśmy się i wyszli. Potem dopiero dowiedziałem się, że sztab Serrano Suner'a myślał że użyjemy w stosunku do Ministra siły fizycznej. Jego sekretarze, całkowicie uzbrojeni, śledzili nas poprzez drzwi i z poza zasłon."

W końcu r. 1943, w rok po pomyślnym wylądowaniu aliantów w północnej Afryce, przeszło dwa lata po przystąpieniu Związku Sowieckiego i Stanów Zjednoczonych do wojny, Sir Samuel Hoare pisał do Londynu:

„Zauważyłem zdecydowane ustalenie się reżymu Franc'a i rosnące zadowolenie z siebie ze strony jego samego. Przyczyn takiego rozwoju rzeczy nie trzeba daleko szukać. W prawdzie dziewięciu Hiszpanów na dziesięciu jest przeciwnikami Falangizmu, wydają się oni jednak niechętni albo niezdolni do zorganizowania jakiegoś skutecznego sprzeciwu... Niebyłbym za natychmiastowym odwróceniem naszej polityki hiszpańskiej, lecz za zdecydowanym wzmożeniem nacisku z naszej strony...Jednocześnie powinniśmy skorzystać z każdej okazji aby potrząsnąć tym samozadowoleniem Franc'a i powinniśmy bez wahania wytykać w prasie i w radio wszystkie zdecydowanie nieneutralne czyny jakich dopuszcza się lub na jakie zezwala jego Rząd."

AUBREY JONES: „THE PENDULUM OF POLITICS". Faber and Faber. 8s. 6d. — Autor, syn walijskiego górnika, kształcił się w London School of Economics i w młodości swej dzielił wszystkie te wiary „postępowców", które teraz atakuje. Kapitan Jones jest ‚reakcjonistą' w najściślejszym znaczeniu tego słowa. Autorytet, hierarchia, przywileje i różnice klasowe spełniają, według niego, właściwą i dobroczynną rolę w społeczeństwie. Własność prywatna, niech tylko „szeroko rozprowadzona", jest podstawą dostatniego życia, tak jak siła, także szeroko rozprowadzona i zbalansowana, ma być podstawą międzynarodowej sprawiedliwości.

„Co to znaczy że się jest „postępowym"? To znaczy że czujesz iż świat przekształca się w pewien sposób i że musisz milej widzieć tę ewolucję niż jakąś próbę zahamowania jej, że musisz raczej płynąć z prądem niż mu się sprzeciwiać...Takie stanowisko jest już samo w sobie stanowiskiem bezczynności ...Jego nutą jest nuta poddania się a nie nuta oporu."

A co to jest „równość"?

„W oczach chrześcijanina świat cały dotknięty jest grzechem: wszyscy są równi w tym sensie że wszyscy cierpią na tę wspólną cechę: wszyscy są braćmi i wszyscy wzajemnie zasługują na miłosierdzie. Jednak, jedni ludzie czynią wysiłek aby pokonać grzech swój: inni nie. Jeśli zatem pierwsi dopuszczą drugich do równości ze sobą, uczynią tym cnocie złą a nie dobrą przysługę."

Rozdziały poświęcone obronie narodowej, organizacji międzynarodowej i Imperium Brytyjskiego dają czytelnikowi sposobność wejrzenia w tradycyjną filozofię i metodę myślenia Konserwatyzmu Angielskiego.

WING COMMANDER WILLIAM ANDERSON: „PATHFINDERS". Jarrolds. 16s. — W laboratorium w którym zespół naukowców R.A.F.'u pracował nad wynalezieniem radaru, wisiał napis następujący: „Jeśli to możliwe, to to zrobimy; jeśli to niemożliwe, to będziemy to robić troszkę dłużej."

Książka poświęcona jest tym cywilom, którzy w czasie wojny pracowali w laboratoriach. Była to, pisze autor, wojna nau-

kowców. I gdyby nie ich „Oko Magiczne" i inne wynalazki, bombowce nie odniosły by swych wielkich zwycięstw nad Ruhrą, Hamburgiem i Berlinem.

SITWELL, OSBERT: „THE SCARLET TREE". Being the Second Volume of „Left Hand, Right Hand!". 318 str. Macmillan. 15s. — Drugi tom autobiografii Sir Osberta Sitwell, obejmujący czasy jego młodości od chwili kiedy ukończył Eton, jest dokumentem społecznym, który dla historyka będzie miał wartość trwałą. Obyczaje angielskiego ziemiaństwa w pierwszym dziesiątku lat naszego stulecia ukazują się w nowym świetle i czytelnik musi częściowo zrewidować swe pojęcia o arystokracji angielskiej tego czasu. Głównym tematem książki nie jest jednak ani tło społeczne, ani charakter rodziców autora, ani nieszczęśliwe lata jakie spędził w szkole, ani nieszczęśliwe lata jakie siostra jego strawiła w domu, lecz sam autor, poeta, szukający swej drogi poprzez gmatwaninę przeciwności; to co czyniło go nieszczęśliwym, wzbogaciło go jako poetę.

PRUITT, IDA: „A DAUGHTER OF HAN". The Autobiography of a Chinese Working Woman. From the story told by NING LAO T'AI-T'AI. Yale University Press. London: Cumberlege. 18s. 6d. — „Córka Hana" jest autobiografią osiemdziesięcioletniej robotnicy chińskiej. W ciągu dwuch lat spisywała tę autobiografię Ida Pruitt, stukając odrazu po angielsku na maszynie pod dyktando starej Ning Lao T'ai-T'ai. Chiny przeszły ze „średniowiecza" do modernizmu jeszcze za życia opowiadającej, nie kłopocze się jednak ona zmianami politycznymi póki wnuczka, po amerykańsku wychowana, nie zacznie wykładać jej o patriotyzmie i Japonji. Wspaniała pamięć i podziwu godny zmysł obserwacyjny pozwalają jej wyrysowywać uszczypliwie lecz trafnie postaci jej wschodnich i zachodnich panów i pań domu, służących, przyjaciół, krewnych i wreszcie jej samej. Doskonale zna życie rodzinne i obyczaje społeczne wszystkich sfer, niższych i wyższych. Choć sama urodziła się w niedostatku i za męża miała palacza opium, który doprowadził rodzinę całą do nędzy, praca przerzucała ją z miejsca na miejsce wprowadzając ją do rodzin o najróżniejszym stanowisku społecznymi i o każdej z nich ma ona coś wartościowego do powiedzenia. Oto naprzykład parę zdań o starej rodzinie sławnych prawników:

„Od siedemnastu pokoleń rodzina ta nie dzieliła swej własności. Było tam, w domu Hsiao Hsing, dwieście pokojów. Kiedy rodzina zbierała się na posiłek było tam od dwustu do trzystu ludzi do nakarmienia. Uderzało się w gong i wszyscy szli. Dom otwarty był dla każdego członka rodziny w każdej porze i każdy pozostać mógł tak długo jak chciał...."

BROWN, JANE: „I HAD A PITCH ON THE STONES". 226 str. Nicholson and Watson. 8s. 6d. — Przez dwadzieścia lat miała autorka swój stragan na londyńskim rynku Caledonian Market i opisuje życie rynku tak jak brała w nim udział. Książka jej nie ma pretensji literackich, szczegóły z życia rynku są jednak fascynujące i trzymają w napięciu uwagę czytelnika. Zaraz po ślubie, autorka i jej mąż, oboje wówczas bez szylinga, zajęli stragan na Caledonian Market, a wszystko co mieli do sprzedania to parę gratów jakie panna młoda zdołała zebrać razem; mąż jej jednak miał doświadczenie i wiedzę antykwarjusza i oboje zdołali rozwinąć swój stragan z powodzeniem, nie bez trudu

jednak i przeciwności takich jak długotrwała choroba, ostatnia bieda, głodne dzieci, i nie bez tragedii takich jak podmuch wiatru rozbijający w proch kolekcję porcelany w której ulokowali cały swój majątek. Książka odkrywa fragment życia Londynu i jego obyczaje, naogół ukryte oku nie tylko cudzoziemca ale i londyńczyka.

ROBESON, ESLANDA GOODE: „AFRICAN JOURNEY". Gollancz. 9s. — Autorka, żona Paul Robesona, uważa się za murzynkę i, jak powiada, zawsze uważana była za murzynkę przez białych Amerykanów, mimo że w żyłach jej płynie krew nie tylko murzyńska ale i hiszpańska, angielska, szkocka, żydowska i indiańska. Przed swą podróżą do Afryki doszła do wniosku że problem murzyński nie ogranicza się do murzynów amerykańskich, lecz obejmuje także murzynów w Afryce, a nawet i Hindusów w Indiach, i Chińczyków w Chinach, i wszystkie mniejszości wszędzie na świecie, że problemy wynikające z przesądów rasowych wszędzie są podobne do siebie i łączą się ze sobą. Swą podróż po Afryce zaczęła od studiowania antropologii w London School of Economics. 15 czerwca 1936 przybyła do Capetown, stamtąd morzem pojechała do Port Elizabeth, potem lądem, przez Lovedale i Fort Hare, do Bloemfontein, Basutoland i Johannesburga. 7 lipca wsiadła na statek w Lourenço Marques, zajrzała do Dar-es-Salaam i Zanzibaru, spędziła cztery tygodnie w Ugandzie i pofrunęła spowrotem do Anglii. Brytyjscy administratorzy w Basutoland i w Ugandzie przyjmowali ją gościnnie, głównie jednak przyjmowana była przez kolorowych przyjaciół, „przenosząc się od jednego do drugiego, z wozu do wozu, z domu do domu", dzięki czemu mogła uniknąć „niewygód i poniżeń" jakich murzyni w Afryce doświadczają w pociągach i hotelach. Dzięki temu samemu mogła jednak także więcej zobaczyć niż przeciętny biały turysta. Z rozmów z wykształconymi Afrykańczykami w Port Elizabeth przekonała się, że są oni „o wiele bardziej uświadomieni politycznie" niż murzyni amerykańscy. W Ugandzie pytały ją kobiety czy sądzi że ich czarne dzieci będą miały miejsce, prawdziwe miejsce w świecie, czy też wciąż „będzie się im mówić co mają robić". „Mamy już dość tego mówienia co mamy robić, a dzieci nasze jeszcze bardziej będą miały tego dość". Na zapytanie co sądzą o przyjeżdżających do Afryki antropologach, usłyszała że białym chodzi tylko o to by zabrać krajowcom bydło, ziemię i żeby płacili podatki; dlaczegóżby więc mieli odkrywać przed białymi szczegóły swej organizacji społecznej? Badania i impertynenckie pytania stawiane im przez przyjezdnych wolą traktować jak zabawę i świadomie dają im najbardziej irytujące i fantastyczne odpowiedzi. Tak jak wielu innych obserwatorów, autorka jest wstrząśnięta sposobem traktowania krajowców w południowej Afryce i wierzy że „żaden człowiek nie może być wolny, póki wszyscy ludzie nie będą wolni". W post-scriptum dodaje, że studiując antropologię doszła do wniosku że w Rosji tak zwane zacofane i prymitywne ludy zostały „podciągnięte do brania czynnego i konstruktywnego udziału w życiu wysoce uprzemysłowionego nowoczesnego państwa".

SPIS RZECZY

„NOWA POLSKA“ JUŻ JEST



DO NABYCIA W KRAJU

NOWA POLSKA jest największym najpoważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

NOWA POLSKA służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

NOWA POLSKA pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bartosik, Bloch, Bocheński, Boguszewska, Bramson, Bratny, Broniewski, Cękalski Ciołkosz, Czarnomski, Czuchnowski, Danilewiczowa, Domański, Dziewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falska, Fiederer, Fiedler, Gazda, Górka, Gotlib, Grosfeld, Gross, Grubiński, Haupt, Hemar, Hertz, por. Herbert, Hładki, Horzelski, Hulewicz, Iwaszkiewicz, Janta, Jastrun, Karpiński, Kittay, Kneblewski, Konarska, Korian, Kossak-Szczucka, Kossowski, Kot St., Kriedl, Krzywan, Krzywicka, Kuczyński, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Lisiewicz, Łempicki, Łagniewski, Łęczyc, Łobodowski, Malczewski, Machalski, Malessa, Malinowski, Markowski, Meissner, Melcer-Rutkowska, Mierzejewski, Miłosz, Mrozowicki, Mortkowicz-Olczakowa, Muczkowski, Naglerowa, Nagórski, Nałkowska, Olcha, Ordęga, Ossowski, Otwinowski, Pawlikowska Parnicki, Parandowski Jan, Piątkowski, Piotrowski, Piskor, Połczyński T. J., Pomian, Potworowski, Poznański, Pragier, Pruszyński M., Pruszyński Ks., Raczyński E., Radziwiłł, Słonimski, Sokołow, Solski, Stankiewicz, Stańczyk, Stawiński, Stempowski, Strasburger, Szerer, Strzałkowski, Szczepański, Szczerbic, Szczytt-Lednicka, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Waligórski, Wilk, Wieniewski, Winiewicz, Wilga, Wionczek, Wittlin, Wójcicki, Zahorska, Zasławski, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Żuławski, Żyw.

Nowej Polski zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, są jednak w przystępnej cenie s. 3ch. Abonament roczny z przesyłką:

	za 1 rok:	za 2 lata:
w W. Brytanii i Dominiach w Europie i Ameryce	£1 16 0	£3 0 0
Roczniki Oprawne za 1942...	£1 6 0	
„ „ „ 1943...	£1 15 0	
„ „ „ 1944...	£2 0 0	
„ „ „ 1945 (tom IV - V)...	£2 0 0	

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1. TEL. MUS. 1409

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub czeków, wojskowi za pośrednictwem „POCZTY POLOWEJ".

PRENUMERATY KRAJOWE PRZYJMUJE „CZYTELNIK" WIEJSKA 14

TUTAJ ODCIĄĆ!

......................1946 r.

Do Administracji

Miesięcznika Literacko-Politycznego

„NOWA POLSKA“

w LONDYNIE

Proszę o wpisanie mnie w poczet stałych prenumeratorów „Nowej Polski" i rezerwowanie dla mnie rok rocznie wszystkich skorowidzów opracowywanych przezW.P. do tomów oprawnych.

Jednocześnie przesyłam prenumeratę w postaci

....

(zbędne prosimy przekreślić)

Prenumerata roczna: **£1.16.0**

Prenumerata 2-letnia: **£3.0.0**

....

podpis.